



SAGA  
EGMONT



Stanisław Przybyszewski

CZEŚĆ 1

# HOMO SAPIENS

*Na rozstaju*



SAGA  
EGMONT

Stanisław Przybyszewski

# HOMO SAPIENS

*Na rozstaju*

CZEŚĆ 1

Stanisław Przybyszewski

# Homo sapiens 1: Na rozstaju

Saga

*Homo sapiens 1: Na rozstaju*

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1901, 2020 Stanisław Przybyszewski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726426236

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Artyście, Myślicielowi  
Najserdeczniejszemu z Przyjaciół  
Zenonowi Przesmyckiemu  
poświęca  
Autor.

## I.

Falk zerwał się wściekły.

Któż tam znowu pukał?

Nie chciał, aby mu przeszkadzano w pracy, teraz właśnie, kiedy postanowił wreszcie pracować.

Bogu dzięki! Nikt z przyjaciół. Tylko listonosz.

Chciał odrzucić list. Nic pilnego. Ale nagle: Mikita!

Zrobiło mu się gorąco.

Mikita, mój drogi Mikita!

Przebiegł list okiem: „Bądź jutro popołudniu w domu. Wracam z Paryża!”

Tyle nie pisał już dawno, od czasu kiedy przed laty wypracował owo sławne zadanie niemieckie.

Falk rozśmiał się serdecznie.

To cudowne zadanie! Że go też wtedy nie wyrzucono z gimnazjum!

Wrażenia noworoczne, ujęte w formę nonoworocznego powinszowania, przeładowanego frazesami: każde zdanie objętości dwu stronnic.

A potem. Nie, to było wspaniałe! Stary Fraenkel... Jak on wymyślał! No, sprawa była wcale niebezpieczna...

Falk przypomniał sobie, jak namówił Mikitę do napisania apologii, w której myślą przewodnią była wspaniała gra słów: „*Was einem Schiller erlaubt ist, sollte einem Schüler nicht erlaubt sein?*”

A potem, następnego dnia. Pisali apologię przez całą noc, nad ranem udali się na spoczynek, a Fraenklowi posłali usprawiedliwienie.

Falk dziś jeszcze nie mógł zrozumieć, jak coś podobnego mogło ujść bezkarnie.

To bajeczne usprawiedliwienie: „Rozumie się samo przez się, że nie można przyjść do szkoły po całonocnej pracy nad apologią”.

Dwadzieścia stron bitego pisma...

Ale teraz musiał pracować.

Usiadł, ale stracił zupełnie chęć do pracy. Chciał się zmusić, łowił skrętnie myśli, gryzł obsadkę pióra, napisał kilka wierszy, całkiem banalnych: nie, nie mógł.

Kiedyindziej popadłby z pewnością w jeden z tych grobowych nastroi, które musiał topić w alkoholu. Dzisiaj był wesoły.

Rozparł się na krześle.

Widział przed sobą straszliwe poddasze, gdzie mieszkali obaj w ostatnim roku studjów gimnazjalnych.

Po jednej stronie trzy okna, których nigdy nie otwierano, bo groziło niebezpieczeństwo, że szyby wylecą. Wszystkie ściany na wskrós pokryte pleśnią. A zimno, Boże się zmiłuj!

A jak raz zbudzili się wcześniej i zdziwieni rozglądali się po pokoju.

— Dziwnie świeże powietrze, rzekł Mikita.

— Tak, dziwnie.

I dziwili się bez granic temu niezwykłemu zjawisku.

Potem sprawa się wyjaśniła. Na dworze był taki mróz, że ptaki marzły w powietrzu.

Falk wstał. Przecież to były jego najpiękniejsze wspomnienia.

A ten wysoki drab, który im zawsze książek dostarczał, jakżeż się nazywał?

Ciekawy człowiek...

Długo nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Ach, nareszcie! Longinus.

Falk przypomniał sobie, jak raz Mikita zakradł się do zawsze zamkniętej budy Longina i zabrał książkę, której mu ten nie chciał pożyczyć.

Nagle pewnej niedzieli — znowu świeże powietrze w pokoju... Przebudził się. Dziwne widowisko: Mikita w koszuli, z kluczem od drzwi w rękę, Longinus rozdrażniony do ostatecznych granic, drżący z wściekłości.

— Otwórz drzwi! syczał Longinus z teatralnym patosem.

— Połóż książkę, a otworzę.

Longinus w bohaterskiej pozie chodził wielkimi krokami po pokoju.

— Otwórz drzwi! krzyknął ochrypłym głosem.

— Połóż książkę.

— Ty jesteś człowiekiem wytwornym, wykształconym, nie zcierpisz, aby ograniczano moje prawa w jakikolwiek sposób.

Longinus zwrócił się do Falka, a lubił mówić zawsze dobranemi, kunsztownie zbudowanemi zdaniami.

— Niestety, żałuję bardzo, ale Mikita ma klucz.

Znowu zbliżył się Longinus uroczyście do łóżka Mikity:

— Odmawiam ci wszelkiego wykształcenia.

To była największa obelga, jaką kiedykolwiek wykrztusił.

— Otwórz drzwi! Ulegam przemocy i zostawiam ci książkę.

Boże! Jak się wtedy śmiali. Oprócz tego była to niedziela. Właściwie powinny być w kościele. Ale nie lubili kościoła. Byli przecież za nadto wierni swym ateistycznym przekonaniom.

W każdym razie było to niebezpieczne. Fanatyczny nauczyciel religii szpiegował po kościele...

Ha, ha, ha.

Falk przypomniał sobie, jak siedział raz w kościele naprzeciw swej „bogini“ — siedział na katafalku, chciał wyglądać powabnie i zajmująco, całe nieskończenie długie kazanie przetrwał w bardzo niewygodnej pozycji, w jakiej widział raz na obrazku Byrona, siedzącego na grobie Shelleya.

Ładna była potem historia...

Teraz znowu chciał się zabrać do pracy, ale nie mógł zebrać myśli. W mózgu jego tańczyło wszystko i wirowało około tych wspaniałych wspomnień.

Bezmyślnie gryzł obsadkę pióra i powtarzał: To były wspaniałe czasy!

A jak nagle odkryli Ibsena, kiedy „Brand“ zawrócił im głowy...

Wszystko lub nic! To stało się ich hasłem.

I wyszukiwali nory nędzarzy, gromadzili wkoło siebie dzieci proletaryatu.

Znowu ujrzał się Falk na poddaszu.

Piąta godzina rano. Stuk drewnianych chodaków, jakby ktoś armaty włókł po schodach.

— Potem roztwierają się drzwi i wchodzi jedno za drugim: chłopiec, dziewczynka — dwu chłopców — dwie dziewczynki, cała izba się



zapełnia.

Wszystko grupuje się przy piecu, wkoło wielkiego, dębowego stołu.

Mikita, wstawaj. Jestem szalenie znużony.

Mikita klnie.

Nie może wstać. Całą noc pracował nad zadaniem łacińskim.

Naraz zrywają się obaj, wściekli, pełni nienawiści ku sobie.

Zęby szcękają od zimna.

A potem: on przy piecu, dysząc i klnąc, bo drzewo nie chciało się rozpalić, Mikita przy wielkim kotle z mlekiem, który ogrzewał maszyną do spirytusu.

Zwolna wypogadzały im się czoła.

Dzieci rzucały się na chleb i mleko, jak młode drapieżce — Mikita z boku, promieniejący radością.

A potem: dzieci precz!

Wtedy spoglądali już przyjaźnie na siebie.

Falka ogarniało serdeczne ciepło.

Już dawno o tem zapomniał. Bogu wiadomo, jaka piękna a ludzka treść tkwiła w tem wszystkim.

Potem, zwykle uczucie wstydu, że wzajemnie pochwycili się na czułości — nie, estetyką to nazywali — wreszcie kłótnia.

— *Niebelungenlied* jest właściwie tylko czcą, marną gadaniną. Mikita znał bardzo dobrze słabe strony Falka.

Na to Falk nie mógł się naturalnie zgodzić. Rozprawiał z niesłychanym zapałem i krajał chleb.

Mikita był chytry. Zawsze wikłał Falka w dysputę i zjadał ukrajane kromki chleba, czego Falk w ferworze dysputy oczywiście nie widział.

A nagle: Dla Boga, dwie minuty po godzinie. Chwyтали książki i pędem spieszyli do szkoły. On na przodzie, Mikita z tyłu, kulejąc. — Czy też teraz wyleczył nogę? — Wtedy dopiero spostrzegął Falk zwykle, że jest głodny, Mikita zjadł wszystek chleb — setny chłop!

Potem...

Falk zamyślił się.

„Brand“ zastosowany do miłości. Wszystko lub nic...

Znowu zamyślił się.

Właściwie zburzył całą przyszłość Janiny.

— Hm, ale dlaczego nie mogła się od niego oderwać? A jak on ją dręczył postulatami i bezwzględnością Branda!

Tak, bez wątpienia wywierał na nią jakiś rodzaj hypnozy. Jakże inaczej dałoby się wytłómaczyć, że uciekła z domu i pojechała za nim?

Niemile. Nigdy jej przecie nie kochał. Chciał tylko zbadać, jak się w dziewczęciu rozwija miłość. Chciał napisać biogenezę miłości. Nie zły pomysł, jak na ośmnastoletniego chłopaka. No czytał wtedy Buchnera i tego „triste cochon“ Bourgeta.

Powinienby ją odwiedzić.

Nie, lepiej nie. Gdyby ona raz wreszcie mogła o nim zapomnieć.

Powstał i zamyślony zaczął chodzić po pokoju.

Przecież to ohydne, uwodzić ją ciągle na nowo, a potem stawiać się na stanowisku człowieka myślącego logicznie i tłómaczyć, że miłość należy pokonać w sobie, że miłość jest uczuciem ludzi pierwotnych, rodzajem patologicznej wysypki w duchowym życiu nowego człowieka.

Tak, w tem był niezrównany!

Gdyby tylko chciała być weselsza.

Przypomniał sobie, jak mu raz odpowiedziała na jego szydercze dowody:

Życzyłabym ci tylko tego, abyś się kiedyś zakochał... na seryo zakochał...

Jakaż ona była naiwna. Nie — nie... Stary wilk z Königsbergu wiedział, czem to pachnie — o! on wniknął w naturę jej miłości: Miłość jest bez wątpienia tylko chorobliwym przejawem... Tak, Kant poznał się na miłości...

Zapalił papierosa i wyciągnął się na sofie.

Co też Mikita teraz maluje?

Nadzwyczajna moc tkwiła w tym człowieku.

Z takim trudem przebijać się przez życie, a nawet na krok nie zboczyć z wytkniętej drogi.

Teraz byłby już mógł zebrać majątek, gdyby był chciał tak malować jak inni.

Te straszne czasy na uniwersytecie!

— Nie masz dziesięciu fenigów, Mikita?

Mikita nie miał nic, od rana niestrudzony przerzucał wszystkie swoje rzeczy, szukając dziesięciu fenigów, które powinnyby przecież gdzieś tkwić.

— Więc będziemy pościć?

— Zdaje się... Mikita nie przerywał sobie w pracy. Zresztą — słyszałeś może, pieniądze mają teraz bardzo małą wartość.

— Tak, tak — słyszałem już.

— No więc! Mikita malował dalej.

I cierpieli głód straszny!

Falk wzdrygnął się.

Zupełnie obezwładniał z głodu. — Dziwna rzecz, że nie popadł w zupełny obłęd. A jak raz bezsilny upadł na ulicy i omal nie został stratowany...

W końcu mieli tylko jedno spodnie. Mikita malował w negliżu, kiedy Falk szedł do uniwersytetu.

Teraz Falk rozśmiał się głośnie.

Przypomniał sobie, jak matka przysłała swego ekonoma z pieniędzmi. Sprzedała wtedy las. Wszyscy trzej poszli do knajpy i siedzieli tam od rana do późnej nocy. Ekonom na czworakach wracał do domu. Mikita ustawicznie chwycił go za nogę, aż wreszcie rozdrażniony ekonom kopnął go silnie obcasem w sam nos.

O Boże! A jak ekonom chcąc womitować przebił głową szybę, bo nie mógł otworzyć okna...

I znowu przypomniał sobie Falk całe tygodnie głodu i nędzy; z czułością myślał o matce, która zawsze jednak w ostatniej chwili z pomocą spieszyła.

Roztkliwił się.

Tak, tak, matka... matka...

No, Mikita musiał się pewnie porządnie głodzić w Paryżu.

He, he — to ci, co torują nowe drogi.

Falk uśmiechnął się melancholijnie.

Ale nie! Na przekór! Raczej zginąć z głodu, niż na krok ustąpić!

Co to właściwie było? Co podtrzymywało go mimo wszystkich obelg, nienawiści, wszystkich niepowodzeń?

Położył się znowu.

Wielka, wspaniała sztuka, która szuka nowych światów, światów leżących poza zjawiskami, poza świadomością, poza wszelką formą przejawiania się — światów tak niepochwytne subtelnych, że wszelkie połączenia zacierają się, i spływają — światów ukrytych w jednym spojrzeniu, w jednym ruchu, w jednym przeblysku sekundy...

Odetchnął ciężko.

A nowe symbole... Nowe słowo, nowa barwa, nowy dźwięk...

— Wszystko to już było!

— Nie, nie, czcigodny panie, nie wszystko! Nie było boleści, która stoi ponad boleścią, nie było rozkoszy, która zamienia się w boleść, nie było całego zasobu nowych pojęć, w których spływają w jedno wszystkie zmysły... tak, tak, nie było jeszcze tych tysięcy wrażeń, które ledwie dwu, trzech, najwyżej dziesięciu współczesnych umie odczuć... Tego wszystkiego nie było, inaczej rozumiałby je i tłum, tłum potrzebujący stuleci do przeżucia jednej odrobiny myśli.

Ostatecznie może i lepiej, że nie każdy felah dziennikarski to rozumie, inaczej musiałby się artysta wstydzić sam przed sobą.

Patrzył na postrzępiony obłok dymu, który cieniutkimi paseczkami wypływał z papierosa i wił się ku górze w dziwacznych skrętach.

Widział raz strumień namalowany w podobny sposób na chińskim obrazie.

Nagle zdało mu się, że słyszy głos Mikity.

Tak, przypomniał sobie: nigdy już później nie przeżył takiego mistycznego niewypowiedzianego nastroju. Był wtedy chory, nie mógł otworzyć oczu, twarz mu obrzmiała.

Mikita pielęgnował go; oh, on umiał go pielęgnować! Dzień i noc czuwał przy jego łóżku. A kiedy Falk nie mógł zasnąć, Mikita czytał głośno. Tak, czytał Florenckie noce Heinego.

I Falk słyszał monotony miękki śpiew, tak: śpiew, a może modlitwę, która płynąc ku niebu cichnie powoli — niby ostatnie fale jeziora, kiedy wieczorna pogoda je wygładza — coraz jaśniej, coraz pieszczotliwiej... zasnął.

---

## II.

Mikita, bracie mój drogi!

— Tak, to ja.

Uścisnęli się serdecznie:

Falk był silnie wzruszony.

Biegał tu i tam, przerzucał najrozmaitsze rzeczy i pytał jednym tchem:

— Mów — mów, czego chcesz? Piwa? Wódki? Ale czekajno — prawda.

Mam tu wspaniałego tokaja — matka mi przysłała — wiesz, jeszcze z czasów ojca. On znał się na winach.

Daj już spokój. Usiądź nareszcie. Niech ci się przypatrzę.

Falk uspokoił się w końcu.

Spojrzeni sobie uszczęśliwieni w oczy i tręcili kieliszkami.

— Znakomite wino! Ale człowieku, jak ty źle wyglądasz! Napisałeś pewnie dużo... Tam do licha! Twoja ostatnia książka — wiesz, tak mnie wzburzyła... nie, to było nadzwyczajne! Kupuję sobie książkę, zaczynam na ulicy czytać, stoję, książka tak mnie zajmuje, że kończę ją na ulicy i dostaję prawie obłądu. Jesteś bajeczny artysta!

Falk promieniał.

— Bardzo, bardzo mnie to cieszy. Ty właśnie wymagałeś odemnie tak niesłuchanie wiele.

Więc podobała ci się rzeczywiście?

— No!

Mikita zakreślił ręką w powietrzu szerokie koło.

Falk uśmiechnął się.

— Przyswoiłeś sobie nowy gest.

— Widzisz, mówić nie zawsze można. Wszystkie te niesłuchanie subtelne odcienie dadzą się tylko gestem wyrazić.

— Tak, masz słuszność.

— To jest naprzykład wielka linia, rozumiesz, wielki rzut, ruch — gorący prąd podwodny, to tylko niewielu rozumie. I tak poszedłem w Paryżu do jednego z wielkich, do przywódcy naturalistów, czy jak się oni tam nazywają... Ten zarabia! No tak, pospólstwo zaczyna teraz kupować ten *cinquième élément*, który Napoleon odkrył w Polsce — *la boue* i kilka badyli kartoflanych. Dawniej kupowano obrazki na paczkach z piernikami słynnego tapicera Jego Apostolskiej Mości — Raffael się nazywał, nieprawda? Tak, no — a teraz przyszedł czas na malarzy kartofli i błota.

Pytam więc przywódcę, czemu właściwie malują to, co w naturze jest tysiąckroć piękniejsze i ostatecznie także nie ma tak znowu ogromnego znaczenia. Głupstwo! Treść!? Znaczenie!? Sama natura, rozumiesz pan...

Tak, rozumiałem.

— Natura jest treścią i znaczeniem.

Ale chyba nie kartofle?

Wtedy malarz kartofli uniósł się.

— Właśnie kartofle, to natura, reszta głupstwo! Fantazja? Fantazja? Rozumiesz pan, fantazja — śmieszne, to tylko środek pomocniczy, tylko w razie koniecznej potrzeby...

Obaj przyjaciele śmiali się serdecznie.

Mikita namyślał się.

— No, ale teraz zobaczą. Głowa pęka mi od pomysłów. Gdybym miał tysiąc rąk, nakreśliłbym tysiące linii i wtedy zrozumiałbyś mnie. Bo uważasz, człowiek zapomina czasem mówić. Byłem u jednego rzeźbiarza — zobaczysz u mnie jego szkice... Czołgałem się na klęczkach przed tym człowiekiem. Powiadam mu: to jest wspaniałe! Co? — Opisałem mu rzecz. Ach, tak pan sądzisz!? I zakreślił w powietrzu niezmiernie potężną linię. Ten to zrozumiał... Ale Boże, mówię i mówię, że usta mnie już bolą — jak ci się powodzi? Nie szczególnie, co?

— Nieszczególnie. W ostatnim czasie przecierpiałem dużo. Te tysiące subtelnych wrażeń, które nie dadzą się jeszcze określić słowem, te tysiące nastroi, które błyskawicznie rodzą się w duszy i giną nieuchwytnie...

Mikita gwałtownie mu przerwał.

— Tak, to, właśnie to. Widzisz, ten rzeźbiarz, ten geniusz — wiesz, jak powiedział? Wspaniale to określił:

Patrz pan, oto pięć palców, można je widzieć, dotykać — i potem rozpostarł palce — ale tu, tu, tego między palcami, nie można zobaczyć, nie można zbadać dotknięciem, a to przecież najważniejsze...

— Tak, bez wątpienia, to najważniejsze, ale dajmy pokój sztuce...

— Jesteś pewnie znużony pracą?

— Nie mogę tego powiedzieć, zato chwilami wszystko wydaje mi się nudne. Nie móżd bezpośrednio czerpać ze skarbnicy życia, lecz zawsze żyć tylko według tego, jak się stosunki ułożą, jak się je przetworzy — i poco właściwie? Już ta myśl mnie zabija, że ledwie, ledwie umiem odczuć boleść i rozkosz bezpośrednio — wszystko staje się we mnie literaturą — czemś sztucznem...

— Musisz się zakochać.

— Mikita, ty? Ty mi dajesz tę radę?

— Tak, tak. Miłość! Miłość jest czemś, co nie jest literaturą, miłość nie da się odczuć pośrednio. Przyjdzie chwila szczęścia — a człowiek chciałby skoczyć w niebo, nie pomnąc, że może przy skoku nogi połamać; przyjdzie chwila boleści, to gryzie tak dotkliwie, tak bezpośrednio — zresztą widzisz, to się nie da opisać, nie da się podporządkować pod pewne punkty widzenia...

Mikita uśmiechnął się. — Bo powinieneś wiedzieć, że się zaręczyłem.

— Ty?! Zaręczyłeś się?!

— Tak, i jestem niezmiernie szczęśliwy.

Falk nie mógł opanować zdumienie.

— No więc zdrowie twojej narzeczonej!

Wypróżnili flaszkę.

— Słuchaj, Mikita. Cały dzień spędzimy przecież razem.

— Oczywiście, rozumie się.

— Wiesz, odkryłem bajeczną restaurację...

— Nie bracie. Pójdziemy do mojej pani.

— Więc ona jest tutaj?

— Tak jest. Za cztery tygodnie ma być ślub. Skoro tylko zbiorę na wystawie monachijskiej tyle pieniędzy, aby sprawić godne weselisko; będzie uroczystość, jakiej jeszcze nigdy nie widziała żadna pracownia malarska.



Falk opierał się.

— Tak bardzo się cieszyłem, że dzisiaj, właśnie dzisiaj będziemy tylko sami. Czyż nie pamiętasz już tych wspaniałych „heures de confidence“, kiedy dysputowaliśmy bez końca...

Ale Mikita uporczywie obstawał przy swoim planie. Iza jest tak niezmiernie ciekawa. Przyrzekł święcie, przyprowadzić jej „in natura“ to dziwne zwierzę, zwane Falkiem. — Nie, nie można już odmówić, muszę iść do niej.

Falk zgodził się.

Po drodze Mikita opowiadał bez przerwy o swoim szczęściu, gestykulując żywo.

— Tak, tak, dziwna rzecz, jak takie uczucie przeistacza człowieka. Wszystko się przewraca, zdaje się, jakby nigdy nieprzeczuwane głębie otwierały się. Dziesięć światów roztacza się przed oczyma. A potem, te wszystkie obce, nieznanne wrażenia, tak niepochwytne, że ledwie tysięczną część sekundy trwają w mózgu. A przecież człowiek dzień cały zostaje pod ich wpływem. A jak dziwnie przedstawia się wtedy przyroda! Słuchaj, z początku kiedy się jeszcze opierała, leżałem jak pies przed jej drzwiami w zimie, w najstraszniejszym mrozie spałem całą noc przed drzwiami jej pokoju i pozyskałem ją. Ale też cierpiałem! Czy widziałeś kiedy krzyk nieba? Nie! Więc wiesz, ja widziałem, jak niebo krzyczało. Zdawało się, że całe się roztwiera tysiącem paszcz i bluzga w świat roztopy barwy. Całe niebo, nieskończony szereg pasów: od ciemnoczerwonego do czarnego. Stęchła krew... nie! kałuża, w której lśni się purpura zachodu, a potem brudne złoto! Ohydne, wstrętne, ale wspaniałe... na Boga, wspaniałe! Potem uczucie szczęścia. Wznosiłem się i wznosiłem i rosłem w górę, w niebo, że mógłbym zapalić papierosa przy słońcu...

Falk uśmiechnął się.

Mikita, który ledwie sięgał mu po barki! Cudowny chłop...

— Nie prawda? Zabawny obraz. Ja sięgający do słońca! Wiesz, gdy byłem w Paryżu, Francuzi oglądali się za mną. Miałem bowiem przyjaciela, przy którym wyglądałem jak olbrzym.

Śmiali się obaj.

Mikita ścisnął mu serdecznie rękę.

— Słuchaj, Eryk, nie wiem właściwie kogo bardziej kocham... Widzisz, miłość do kobiety to zupełnie coś innego, stawia się pewne żądania i ostatecznie, nie prawda? Miłość ma jakiś cel w sobie... A przeciwnie przyjaźń — mój drogi — przyjaźń jest czymś niepochwytne, to „między palcami“... A znowu jeśli się żyje z kobietą bez przerwy przez trzy miesiące...

Falk przerwał mu.

— Nie wyobrażasz sobie, jak nieraz tęskniłem za tobą. Tu między tymi pisarkami nie ma ani jednego... Rozumiesz. Teraz zato będziemy korzystać z czasu.

— Tak, będziemy zawsze razem.

Stanęli przed domem.

— Słuchaj, Eryk, ona jest niezmiernie ciekawa, poznać cię. Staraj się być zajmującym, inaczej ośmieszysz mnie. Bardzo zajmującym, ty to umiesz szatanku jakiś ty!

Weszli.

Falkowi zdawało się, że wkoło niego rozciąga się wielka, gładka, zwierciadlana płaszczyzna.

Potem doznawał uczucia, że musi sobie coś przypomnieć, co już raz w życiu widział, czy słyszał.

— Eryk Falk, przedstawił Mikita.

Spojrzała na niego. Zakłopotana się, a potem serdecznie wyciągnęła do niego rękę.

— Więc to pan!

Falk ożywił się.

— Tak, to ja. Bynajmniej nie wyglądam nadzwyczajnie. Kierując się opisem Mikity oczekiwała pani zapewne jakieś zamorskie zwierzę?

Uśmiechnęła się.

Falk spostrzegł coś, niby tajemniczą zasłonę, przez którą przebłyskał ten dziwny uśmiech.

— Stałam się zazdrosną o pana. Falk ciągle mówił tylko o panu. Właściwie tylko dla pana przyjechał tu do Berlina.

Szczególne! Ta sama zasłona w oczach. Niby przebłysk potężnego światła, które toruje sobie dopiero drogę poprzez ciężkie opony mgły. Co to

było?

Usiedli.

Falk spojrzał na nią, ona na niego. Oboje uśmiechnęli się dziwnie zakłopotani.

— Mikita opowiadał, że pan zawsze pija koniak. Kupiłam flaszkę, ale on wypił już połowę.... Dla pana mam nalać?

— Dla Boga, wystarczy!

— Przepraszam, niewiedziałam... Pochodzisz pan przecież z Rosyi, a tam istnieje podobno zwyczaj picia koniaku litrowemi szklankami.

— Bo ona myśli, tłumaczył Mikita, że w Rosyi niedźwiedzie przychodzą do domów i wylizują resztki z garnków.

Śmiali się wszyscy.

Rozmowa schodziła na różne tory. Mikita mówił bez przerwy, gestykulując rękoma.

— Widzisz Eryk, my oboje kochamy się do szaleństwa.

Falk zauważył u Izy uśmiech zakłopotania; niby uczucie zawstydzenia prześlizgło się lekko po jej twarzy.

— Nie powinieneś nudzić Falka opowiadaniem o takich nudnych rzeczach.

Delikatny cień niezadowolenia przebiegł po twarzy Mikity.

Ona ukradkiem pogładziła jego rękę; twarz Mikity wypogodziła się znowu.

Umie sobie z nim poradzić, pomyślał Falk.

Pokój tonął w dziwnym, ciemno czerwonym świetle. Wyglądało to, jakby światło lampy przedzierało się przez warstwy różnobarwnego szkła.

Czy to było skutkiem światła?

Nie, to tkwiło w kątach ust — nie! Subtelne paski około oczu... Znowu znikło i padło w delikatne zagłębienie mięśni twarzy... nie, to było nie do pojęcia...

— Ty milczysz, Eryk, czy ci co brakuje?

— Boże, jaka pani piękna!

Falk rozmyślnie wymówił te słowa, ale z takim odcieniem szczerości, że nawet Mikita dał się zwieść.

— Widzisz Iza, ten człowiek jest szczery, nie prawda?

Dziwny człowiek! Ta twarz... Iza musiała ciągle patrzeć na niego.

— Co ty właściwie robiłeś przez całą zimę?

Falk opanował się.

— Łajdaczyłem się z Iltisem.

— Kto to taki?

— To przezwisko wielkiego człowieka, objaśnił Mikita.

Iza rozśmiała się. Dziwaczne przezwisko.

— Widzi pani, Iltis osobiście dla mnie jest człowiekiem bardzo sympatycznym, dobrym człowiekiem, który łączy się z młodzieżą. Czasami gdy zanadto piją, wysuwa się cichaczem...

— Czem on jest?

— Rzeźbiarzem. Ale to rzecz zupełnie obojętna.

Nas zajmuje on tylko jako człowiek. A jako człowiek ma idée fixe, że ktoś zasuggestyjonowany przez niego, musi się zastrzelić. Hypnoza jest jego ulubionym konikiem. Raz zdarzyło się, że piliśmy przez całą noc. Czcigodna publika, która uważa nas za kapłanów sztuki...

— Kapłani sztuki! Wspaniale... świątynia muz... Klio... Ha, ha, ha. Mikita cieszył się nadzwyczajnie.

— Otóż: publika nie ma wyobrażenia, jak się to często przytrafia kapłanom sztuki! Po takiej więc nieprzespanej nocy kapłani zapragnęli świeżego powietrza. Mali kapłani odpadli po drodze. Tylko wielki hierophant...

— Hierophant! Iltis hierophantem!

Mikita trząśł się od śmiechu.

— Więc Hierophant i ja szliśmy razem. Nagle Iltis staje. Pod murem stoi jakiś człowiek, zapatrzony w niebo.

— Mężu! mówi Iltis z niedającym się opisać drżeniem w głosie.

Ale człowiek nie rusza się z miejsca.

Iltis ciska niemal skry z oczu.

— Uważaj! Ten człowiek jest zahypnotyzowany, szepcze mi tajemniczo.

— Mężu! Głos jego potężnieje i ryczy jak zachrypła trąba, którą burzono mury jerychońskie — tu masz sześć marek, kup sobie rewolwer i odbierz sobie życie!

Człowiek wyciąga rękę.

— Najzupełniejsza hypnoza, szepcze Iltis i kładzie wyniosłym ruchem sześć marek na otwartą dłoń człowieka.

W tej samej chwili człowiek zaczyna szaleć z radości.

— Teraz nie potrzebuję odbierać sobie życia. Niech żyje życie!

— Podły tchórz! ryczy za nim Iltis.

Mikita i panna Iza rozśmiali się serdecznie.

Falk nasłuchiwał. W tym śmiechu był jakiś dźwięk — jakieś coś... co mu tylko ten śmiech przypominał?

— Widzi pani: gdybym był ministrem oświaty, nadałbym temu podłemu tchórzowi dobrze płatną profesurę psychologii.

— Czy wy wszyscy z Rosyi umiecie tak wytwornie szydzić?

Spojrzała na niego wielkimi, serdecznymi oczyma.

Miał rzeczywiście chęć być zajmującym. Tak, rzeczywiście. Coś w nim było, co zdradzało dziwne podobieństwo z zamiarem, tak, z zamiarem zwrócenia uwagi kobiety na siebie — zabawienia jej...

Kto była ta kobieta?

Znowu spojrzał na nią, nie słuchała słów Mikity; wkoło oczu ten sam dziwny żar.

Jakby wszystkie linie spływały się za zasłoną.

Miał ustawicznie chęć zdjąć coś z jej twarzy i ust.

Mikita przerwał nagle w środku opowiadania.

Spojrzał przelotnie na Izę. Oczy jej były utkwione w Falku.

Ciekawość?... Tak?... Może i nie...

Falk spostrzegł niepokój Mikity i nagle rozśmiał się głośno:

— Tak, to było zadziwiające. Ten stary Fraenkel — prawdziwy sobowtór Iltisa. Pamiętasz jeszcze Mikita — wtedy w niedzielę. Spaliśmy; ja marzyłem o Grieserze, chemiku, który wówczas wydawał mi się olbrzymem, duchowym olbrzymem. Oszukał nas obu.

Nagle budzę się. Ktoś puka do drzwi. Otworzyć!

Ja, zaspany, myślę o Grieserze. Ale to nie jest głos Griesera.

— Kto tam?

— Fraenkel.

Nie słucham i myślę tylko o Grieserze.

— Ale pan nie jesteś Grieser.

— Jestem Fraenkel. Otwórzcie.

— Boże, nie błaznuj pan! Nie jesteś Grieserem.

Słyszę, że to nie jest głos Griesera, mimo to otwieram, ale jestem tak zaspany, że nie mogę go poznać.

— Nie jesteś pan przecież Grieser!

Nagle przytomnieję i cofam się przerażony. Rzeczywiście Fraenkel. O Boże! A na stole leżała książka Straussa „Życie Chrystusa“...

Wszystkie te wspomnienia rozgrzały Mikitę.

Falk czuł, że musi teraz odejść, ale niemożliwością było dla niego, fizyczną niemożliwością oderwać się od Izy.

— Słuchaj Mikita, może pójdziemy do restauracji pod „Zielonym Słowikiem“. To zajmie pannę Izę.

Mikita wahał się, ale Iza zgodziła się natychmiast.

— Tak, tak; bardzo pragnę widzieć tą sławną knajpę.

Ubrali się.

Falk szedł naprzód.

Iza miała zgasić lampę.

Iza i Mikita zatrzymali się chwilę.

— Czyż nie jest cudowny?

— O wspaniały! Ale — nie mogłabym go kochać.

Pocałowała go gwałtownie.

Na dole wszyscy troje siedli do dorożki.

Była jasna noc marcowa.

Przejechali zwierzyniec, nie mówiąc ani słowa.

W dorożce było bardzo ciasno; Falk siedział naprzeciwko Izy.

Tego uczucia nie doznawał nigdy. Zdawało mu się, że bezustannie żar zlewa mu się w oczy, zdawało mu się, że ciało wchłania jej... jej ciepło... Jakby promieniało od niej coś takiego, co stapało w nim wszystkie inne uczucia, spływało w jedno — w pragnienie... tęsknotę...

Oddech jego stał się krótki i gorący.

Co to było?

Zapewne wypił za dużo.

Ależ nie!

Nagle spotkały się ich ręce.

Falk zapomniał o obecności Mikity. Przez chwilę stracił panowanie nad sobą.

Podniósł do ust jej rękę i całował tak namiętnie, tak namiętnie...

Zostawiła rękę w jego dłoni.

---

### III.

Pojawienie się Izy pod „Zielonym słowikiem“ wywarło wielkie wrażenie.

Falk spostrzegł starego Iltisa, jak przymrużył oczy i wykrzywił twarz niemiłym uśmiechem.

Jego wybujała seksualna fantazyja zaczęła oczywiście zaraz pracować. W tem był niezrównany.

Iltis przybiegł też zaraz do Mikity. Boże, wszak byli zawsze dobrymi przyjaciółmi!

Falk powitał go niedbałym skinieniem głowy i usiadł z Izą na uboczu.

I znowu widział w koło jej oczu ciepły, zamglony blask.

Zdawało mu się, że traci przytomność. Tylko z trudnością mógł panować nad sobą.

Dziwna rzecz, że musiał wpierw odkrząknąć; miał głos dziwnie zachrypły.

— Zapoznam panią trochę z towarzystwem.

Znowu odkrząknął.

— Ot, ten pan, ten gruby z cieniutkiemi nogami — niestety nie może ich pani teraz widzieć — a rzeczywiście są godne widzenia — tak, ten, który teraz wpatruje się w panią tajemniczem, badawczem spojrzeniem, jakby węszył w pani tajemną zagadkę społeczną — ten jest anarchistą. Oprócz tego pisuje wiersze, wspaniałe wiersze: My jesteśmy infanterją... nie — prawda: czerwonymi huzarami ludzkości. Czerwoni huzarzy. Bajeczna fantazyja Prusaka!

Falk rozśmiał się zachrypłe.

Tak on jest anarchistą i indywidualistą. Zresztą wszyscy, — ci wszyscy, którzy tu siedzą wkoło są indywidualistami i kierują się tym niesmacznym, grubym, niemieckim egoizmem.

Coś zabrząkło na podłodze.

Wszyscy zwrócili oczy.



Falk uśmiechnął się.

— Widzi pani, to jest także zajmujący, młody człowiek. Jest filozofem i wierzy w ośrodek woli, tkwiący we wszechświecie, ludzie są według jego teorii tylko emanacjami tej woli. Cała jego energia gromadzi się w końcach palców, więc, by przeszkodzić zgęszczeniu się jej, wyładowuje ją, rzucając szklankami o ziemię...

Młody, kędzierzawy człowiek rozejrzał się wkoło tryumfującym wzrokiem. Ale czyn jego nie wywarł nadzwyczajnego wrażenia, zawołał więc o nową szklankę.

Iltis uspokajał go.

— Ależ dziecko...

— A ten — tam po lewej stronie... Czyż nie ma twarzy, podobnej zgnięmu jabłku?

Mikita zbliżył się do nich.

— Musimy usiąść tam przy stole, inaczej pomyślą, że się odtrącamy.

Teraz wszystkich przedstawiono Izie.

Falk siadł obok Izy. Przy nim po prawej stronie siedział człowiek, którego przyjaciele Falka nazwali Ssakiem.

Ssak był uprzedzająco grzeczny.

Falk obrzydził go sobie nagle. Wiedział że ten człowiek go nienawidzi.

— Czytałeś pan ten nowy zbiór poezji? Ssak wymienił jedno z ostatnich nazwisk, które były „en vogue“.

— Tak, przerzuciłem.

Falk odczuwał, że Iza wsłuchuje się w jego słowa. — Czuł silne wewnętrzne drżenie.

A co? Zadziwiające?

— Bynajmniej. Przeciwnie, sędzę, że książka jest zupełnie głupia.

Falk starał się być spokojnym.

— Zupełnie, zupełnie głupia. Poco pisze się takie wierszyki bez jakiegokolwiek treści? Aby opiewać wiosnę? Tą już chyba za wiele opiewano. Należałoby się wstydzić, wymawiać nawet słowo „wiosna“...

Mikita spojrział na Falka zdumiony. Falk nigdy nie miał zwyczaju zabierać głosu w tych kołach.

— Całe to malarstwo nastrojowe, jest tak płaskie, tak mało znaczące... Takie nastroje odczuwa każdy chłopak wiejski, każda dziewczka, kiedy w jej ciele ospałość zimowa ustępuje miejsca szybszej wymianie materii... Gdyby to były nastroje, które zdzierają choć rąbek zasłony z tajemnic i zagadek, przepelniających duszę człowieka; gdyby to były nastroje, które przynajmniej dają choć okruszek tej nieznannej, ciemnej duszy poza tę głupią świadomością... Ale te wszystkie wrażenia, których wyżej stojący rodzaj człowieka wcale nie odczuwa, bo — bo jego uczucie się wzdryga przed życiem parobka w tych wiosennych podrygach chuci.

Falk zająknął się i zmieszał. Zdawało mu się, że stoi na mównicy, w koło niego tysiące słuchaczy. Wtedy tracił zawsze panowanie nad sobą i prawil niedorzeczności. Ssak chciał mu przerwać. Ale Falk musiał kończyć.

— Widzisz pan, te wszystkie uczucia mają znaczenie dla młodzieży i podrostków, bo są, że tak powiem, podstawą wrażeń doboru płciowego...

— Ale kochany Falku — Ssak skorzystał z chwilowej przerwy, podczas której Falk starał się skupić myśli — zapoznajesz pan zupełnie umiejętność artysty.

— Umiejętność artysty wywodzi się od słowa „umieć“.

Wymówił to zdanie z namaszczaniem.

— Tylko umiejętność rozstrzyga o wartości dzieła sztuki. Poezye są wykończone pod względem artystycznym, rytm dobry i swobodny...

— Ale to wszystko jest wiechciem wymłóconej słomy, przerwał mu Falk.

— Twoje zdrowie! Iltis przypił do Falka. Z Falkiem coś się działo złego. Nigdy jeszcze nie widział go w takim zapale i rozdrażnieniu.

Falk był podniecony.

— Nie, kochany panie. Nie forma, nie rytm rozstrzyga w dziełach sztuki. Niegdyś miało to znaczenie, kiedy człowiek tworzył dopiero formy artystyczne, tak — musiał tworzyć powodowany wewnętrznym popędem, wynikającym z tysiąca przyczyn. Wtedy rytm jako taki miał znaczenie, bo w nim przejawiało się rytmiczne działanie krwi... w czasie, kiedy rytm się rodził, był on objawieniem, — genialnym czynem. Dzisiaj ma tylko znaczenie atawistyczne — dzisiaj jest czczą, zamarłą formułą klasyczną.

Zresztą do tych poezji nie trzeba było niczego więcej, prócz — prócz odziedziczonego poczucia formy... Nie myślę zaprzeczać, że rytm ma wielkie znaczenie w celu wydobywania całości artystycznego efektu, ale prócz niego musi tkwić w utworze poetycznym coś więcej...

Iltis znowu trącił się z Falkiem. Zaczynało go to nudzić.

— Nie, nie! Nie oklepany temat wiosny, miłości i kobiety... Nie! precz z tymi śmiesznymi lirnikami...

Falk mówił coraz gwałtowniej.

Iza nie słuchała słów jego mowy. Widziała tylko człowieka z delikatną ściągłą twarzą, z płonącymi namiętnością głębokimi oczyma.

— Czego chcę? czego ja chcę. Chcę życia i jego straszliwych głębi, jego przepaścistych otchłani... Sztuka jest dla mnie najgłębszym instynktem życia, świętą drogą ku przyszłości życia, wiecznością życia i dlatego żądam wielkich ciężarnych myśli, które przygotowują nowy dobór płciowy, wytworzą nowy świat, nowe pojęcie świata...

Sztuka dla mnie nie kończy się na rytmie, na śpiewności, dla mnie jest ona wolą, która wywołuje z nicości nowe światy, nowych ludzi...

Nie, nie, kochany panie, potrzebujemy wielkiej, myślami ciężarnej sztuki, w przeciwnym razie sztuka w ogóle jest niepotrzebną, nie ma sensu.

Falk oprzytomniał nagle. Cóż on wygadawał? Czy chciał rzucać w świat jakiś program? Ale równocześnie wpatrywał się w Izę, aby się przekonać, jakie wrażenie wywarła na nią jego gadanina.

To było przecież zanadto dziecinne.

— Ten rodzaj sztuki, jaki pan chwali, może mieć znaczenie dla zwierząt... Wiadomo panu, że ptaki naprzykład wabią samicę rytmem i śpiewnością: nasi poeci tego nie potrafią — nie, bezwarunkowo nie. Nie wywierają już wrażenia nawet na podlotki...

Iltis uśmiechnął się złośliwie i mrugnął oczami.

Falk przypił do niego. Był niezadowolony z siebie, ale czuł jej oczy i wpił się w nią wzrokiem, głęboko... w same serce... To było aż nadto liryczne... Znowu zapalił się. Ssak był zirytowany.

— Jestem rzeczywiście ciekawy, co pan nazywa sztuką?

— Widziałeś pan Ropsa? Tak? Więc widzisz pan, to jest sztuka. Czy wogóle da się coś więcej powiedzieć o życiu?

— Naturalnie.

— Tak — naturalnie, jeśli ktoś sądzi powierzchownie... Naturalnie, jeśli ktoś wszystko znajduje naturalnem. — Tak, naturalnie Strauss, Vogt i Buechner i... i... Ale te głębie, te przerażające otchłanie, ta wielka walka płci, wieczna nienawiść płci... czy to jest naturalnem? Czy to nie jest tajemniczem mysterjum? Czy to nie jest czynnikiem, który wiecznie rodzi, i tworzy życie i niszczy życie? Czy to nie jest czynnikiem, który kształtuje pobudki naszego działania, chociaż świadomemu umysłowi wydają się one tak niewinne i nic nieznaczące.

Falk plątał się, szukał, dobierał słów, czuł, że nie może znaleźć słów a potem mówił coraz gwałtowniej.

— Oto, czego nam potrzeba: mózgu, dla którego nic nie jest zrozumiałem, mózgu, który nie zna rzeczy zrozumiałych i mózgu, w którym rozwiązał się węzeł — święty węzeł wszystkich zmysłów, gdzie linia staje się tonem, wielkie zdarzenie gestem, tysiące ludzi w jedno spływa, gdzie istnieje nieprzerwany szereg od dźwięku do słowa i barwy bez istniejących teraz granic...

Falk znowu oprzytomniał i uśmiechnął się cicho...

— Nie, nie. Nie chcę znać śmiesznej logiki ani waszej świadomości, ni waszych atawistycznych półśrodków doboru płciowego...

Iza ciągle patrzyła na niego. Nic słyszała co mówi — widziała tylko jego gęste włosy, jak mu na czoło spadły, oczy głębokie, szeroko rozwarte... Nie spodziewała się nigdy, aby był tak piękny... tak demonicznie piękny...

— Pan Falk pobierał zdaje się nauki u teozofów.

Anarchista podniósł nagle głowę i mówił głosem przeciągłym i poważnym.

Falk uśmiechnął się.

— Nie, czcigodny panie, bynajmniej. Ale posłuchaj pan: Jesteś pan przecież wielkim i sławnym poetą, jak daleko sięga mowa niemiecka...

Jakiś człowiek rozśmiał się głośno z widocznie złośliwym zamiarem.

Anarchista spojrział na niego z wściekłością, zaczerwienił się i krzyknął na Falka:

— Wypraszam sobie wszelkie kpiny.

Falk spoważniał.

— Widzi pan, mówiłem zupełnie poważnie. Ale niestety chybiłem celu. To, co powiedziałem było coprawda grzecznością, bo ja Pana za wielkiego nie uważam, słyszę to tylko naokół siebie, ale...

Anarchista kipiał, widział wzrok Izy, spoczywający na nim z niekłamanym szyderstwem.

— Mój panie, posuwasz się pan za daleko!

— Bynajmniej. Upatrujesz pan w tem, co mówię złośliwe zamiary, których nie mam. Zresztą stworzyłeś pan i dla mnie coś, — obraz takiej... nazwałbym to wielkością antytezy... Myślę o czerwonych huzarach ludzkości...

Znowu rozśmiał się ten sam pan, i tym razem tak głośno, że Falkowi było to przykro.

— Wyciągam wnioski. Jeżeli pan tworzy, nie prawda, to jest chwila niezwykła, mistyczna, powiem nawet — teozoficzna, bo pan wszystko, co jest niezwykle, zalicza do teozofli. Słyszałeś pan zapewne o fakirach, którzy sztucznie pogrążają się w extazę somnambuliczną, a potem miesiące całe leżą żywcem pogrzebani. Ja sam widziałem raz w Marsylii fakira, który w stanie takiej extazy kaleczył się bez śladu krwi. Widzisz pan więc, jeżeli pan tworzy, to jest to ten sam stan somnambulicznej ekstazy, który coprawda nie da się sztucznie wywołać. W jednej chwili wszystka siła życiowa zbiega do jednego punktu. Nic pan nie widzisz, nic nie słyszysz, pracujesz nieświadomie, nie potrzebujesz się zastanawiać, wszystko odbywa się, jak we śnie... A teraz powiedz pan, czy to nie jest mistyczne? Czy możesz pan wytłómaczyć to z pomocą logiki? Możesz pan komuś wyjaśnić, czemu pan jesteście sławnym poetą a nie ktoś inny?...

Wszyscy milczeli zmieszani. Falk przecież posunął się za daleko.

Anarchista podniósł się i wyszedł.

Iltis nic nie rozumiał. Nie, nie. Jego mózg był za wielki, by pojąć takie metafizyczne igraszki. Ale zrozumiał, że Falk pokonał przeciwnika i życzliwie trącił się z nim.

— Podaj mi pan rękę!

Młody człowiek, który przedtem rzucał szklankami o ziemię, wstał, ujął się jedną ręką patetycznie pod bok i wyciągnął drugą rękę.

Falk z uśmiechem podał mu dłoń.

Iza milczała. Czuła się tak szczęśliwą. Takiego szczęścia nie czuła już dawno, bardzo dawno.

Falk był dziwnym człowiekiem. Stanowczo był on najpiękniejszym zdarzeniem jej życia ale tylko zdarzeniem...

Nagle zaniepokoiła się.

— Jesteś taka milcząca. — Mikita podszedł ku niej.

— Jestem szczęśliwa. — Uścisnęła mu lekko rękę.

— Czy nie jesteś znużona?

— Nie, bynajmniej!

— Ale pójdziemy już, nie prawda?

Jakaś moc przykuwała ją na miejscu. Chciałaby pozostać za każdą cenę. Ale w jego oczach wyczytała niemą prośbę.

— Tak, pójdziemy! Głos jej brzmiał obco, prawie odpychająco.

Podniosła się.

— Idziecie już? Zostańcie z nami jeszcze chwilę. Falk błagał, mógłby ją był zatrzymać przemocą.

Ale Mikita bezwarunkowo nie mógł zostać dłużej; musiał odprowadzić Izę do domu.

— Więc pamiętaj, Mikita...

— Ach prawda! Mikita zapomniał zupełnie, że Iltis zaprosił jego i Izę na wieczorek.

— Tak, przyjdzie z pewnością. Czy Iza zechce mu towarzyszyć, tego nie wie...

Iza z radością przyjęła zaproszenie.

— A ty, Falk? Przyjdiesz oczywiście także? Iltis uderzył Falka przyjacielsko po plecach.

— Z pewnością.

Iza zwróciła się nagle do Falka i jeszcze raz podała mu rękę.

— Odwiedzisz mnie pan niedługo?

Falkowi zdawało się, że zasłona koło jej oczu rozdziera się, żar tryska i oblewa gorącą falą powieki.

— Pokój pani jest moją ojczyzną.

Mikite ogarnął niepokój; uścisnął niezwykle silnie rękę Falka i wyszedł z Izą.

— Im się spieszy! Iltis mrugnął lubieżnie oczami.

Falk uczył nagle dziwne rozdrażnienie. Z trudem tylko powstrzymał słowo, które z pewnością nie byłoby pochlebilo Iltisowi.

Usiadł znowu i obejrzał się dokoła.

Wszystko naokoło wydawało mu się tak niezmiernie głupiem i nudnem; czuł się strasznie osamotniony.

Był także bardzo niezadowolony z siebie. Czuł, że podczas całej tej gadaniny był śmieszny i chłopięcy. Chciał w istocie wyrzucić wrażenie na Izie. Bezwątpienia... A wszystko, co powiedział wydało mu się głupiem... Tyle wielkich i czcnych słów... takie wstrętne młócenie plew. Z pewnością potrafiłby w innych warunkach wszystko lepiej powiedzieć. Ale cóż?

Drżał, mieszał się, nie pojmował co się z nim działo, kiedy mówił.

Ogarnęła go prawdziwa wściekłość.

Ten głupi Ssak, jakżeż szkaradnie cykał piwo ze szklanki... Wstrętne. Właściwie wszystko obrzydło mu nagle w tym osławionym „Słowiku“.

— Wszystko.

— Nie! Po co miał siedzieć dłużej? Zapragnął świeżego powietrza. Czuł chęć pójść gdzieś, gdziekolwiekby, byle daleko, bez końca, po wszystkich ulicach... Coś sobie musiał wytłómaczyć. Tkwiła w tem jakaś zagadka, którą musiał rozwiązać, coś... coś nowego — obcego.

Zapłacił i wyszedł.

---

## IV.

Kiedy Falk wyszedł na ulicę, zaniepokoił się bardzo.

Zaczął iść szybko. Może zmęczenie fizyczne przyniesie mu ulgę.

I zdawało mu się, że coś gna go coraz szybciej naprzód, tak, że wreszcie począł biedz.

Ale stan jego pogorszył się jeszcze.

Czuł, jak fala niepokoju głębiej i głębiej wkraża mu się w ciało; czuł, jak coś szybciej i szybciej w nim wiruje i z rosnącą siłą zlewa się w każdą szczelinę, w każdy nerw. Cóż to było?

Zastanowił się nagle.

Czyżby znowu wracało niebezpieczeństwo?

Stanął.

Musiał być w nim jakiś zwierzęcy prawie instynkt; jakaś obca dusza w nim wietrzyła niebezpieczeństwo.

Nagle uczuł jakieś nieświadome, zwierzęce pragnienie.

Przypomniał sobie nagle, kiedy jeszcze był czternastoletnim chłopcem. Gdzieś wysoko na trzecim piętrze. Dwa okna na podwórze. Na dole wieczny łoskot. Bednarze pobijali beczki.

Miał się wyuczyć na pamięć długiego ustępu z Owidyusza, inaczej czekała go surowa kara.

I siedział i uczył się; uczył tak, że gorące łzy, jak groch spływały mu po policzkach.

Ale jego mózg był dziwnie tępy. Zaledwie wyuczył się jednego wiersza na pamięć, zapominał innych.

A na łąkach, za murem fortecznego miasta bawili się jego towarzysze i Jahns był oczywiście z nimi, Jahns, którego tak kochał.

A dzień chylił się ku wieczorowi. Rzucił się na kolana; opanował go bezgraniczny strach; błagał ducha świętego o łaskę oświecenia.

Ale nic, nic nie mógł zapamiętać.



Ciemniało mu przed oczyma ze strachu. Musiał się nauczyć. Musiał. I bił się pięściami w głowę, każde słowo powtarzał tysiącrotnie, ale nic nie pomagało.

Nie było rady. Wtedy nagle, niespodziewanie, opadła go zbawcza myśl. Musiał uciekać daleko, daleko, do — matki...

Biegł wśród nocy, biegł, dyszał, upadał. Każdy szmer ubezwładniał go, każdy błysk rozpałał morze światła w jego oczach, potem zrywał się znowu i biegł dalej, bez przerwy, aż wreszcie upadł w lesie bez sił, bez pamięci...

A teraz słyszał znowu ten silny, rozkazujący głos: Uciekaj! Uciekaj!

Zastanowił się i uśmiechnął.

Zwierzę się zbudziło. Czyż człowiek obdarzony świadomością, nie miał innych środków obronnych nad tchórzliwą ucieczkę? Dlaczego miał właściwie tak nagle uciekać?

Naraz rozszalało się w nim pragnienie, — jak mgieł opary rozpostarło się nad jego mózgiem i zdusiło wszystkie myśli. Czul jej rękę na swoich ustach. Czuł, jak ciepło jej ciała rozpałało jego krew, czuł, jak dźwięk jej głosu spływał pieszczącą falą po jego nerwach.

Porwał się gwałtownie.

Nie! — krzyknął głośno.

Mikita! Jak on ją kochał... Widział Mikitę, jak z drżącą obawą śledził ich bez przerwy.

Czy nie był pewny jej miłości?

Wtem nagle:

Ona? Czy ona mogła kochać Mikitę? Nie, to śmieszne! Myślę tylko o tem, czy istota podobna do niej... nie, nie... tylko o tem, czy ta kobieta mogła patrzeć spokojnie na te śmieszne ruchy Mikity... Hm, Mikita był przecież dzisiaj trochę zabawny z tem jakaniami się i...

— Nie! nie! — Falk zawstydział się. — Mikitę trzeba kochać. Każdy, kto go pozna, musi go pokochać. Tak, bez wątpienia... kochała, musiała go kochać.

A może tylko jego sztukę?

Rzeczywiście? Czy mu się tylko tak zdawało? Ale czyż nie widział, jak niechęć prześlizgła się przez jej twarz, kiedy Mikita mówił o szczęściu

miłosnem? A czyż nie chciała później załagodzić tego, głaszcząc jego rękę bez żadnego innego powodu?

Naraz uniósł się wściekłością. Czyż teraz nie pochwycił się na tem, że miłość Mikity sprawiała mu nieprzyjemne uczucie? Czyż nie żywił pragnienia, aby jego przypuszczenia stały się prawdą? Nie, to było obrzydliwe, to było ohydne...

Ohydne? Dlaczego ohydne? Ha, ha, ha; tak, jakby on zawinił, że w jego duszy budziły się głupie, zwierzęce instynkta!

Wszedł w szpaler drzew. Był zdumiony. Takich wspaniałych drzew nigdy jeszcze nie widział. Przypatrywał się im uważnie. Widział potężne konary niby sękate szprychy tkwiące w osi koła — dziwacznie rozgałęzione, powiązane i poplątane w sieci... I widział splot konarów rysujących się na tle nieba: olbrzymią sieć tętnic, które oplatały niebo, to święte łono magiczne światła i błogosławieństwa.

Jakież to było piękne! I wiatr marcowy taki ciepły...

Musiał zapomnieć o niej. Zapomnieć.

I znowu wszystkie jego myśli i plany zagłuszył ten prastary krzyk: Uciekaj! Uciekaj!

Nie, nie potrzebował uciekać. Przed czym?

Ale niepokój jego wzrastał się coraz silniej. Walczył z rosnącą męczarnią, która tamowała bicie jego serca.

Kto była ta kobieta? Czem była dla niego? Przecież nigdy dawniej nie doznał czegoś podobnego. Nie! Nigdy!

Namyślał się i namyślał, ale nie! Nigdy...

Czy to była miłość?

Uczuł trwogę.

Jak się to stało, że w ciągu godziny kobieta ujarzmiła go, weszła w jego mózg jako jakiś nowotwór, około którego gromadziły się wszystkie jego myśli, wszystkie uczucia?

Nie! Nie chciał, nie powinien o tem myśleć więcej.

Nie pożądaj żony bliźniego twego! Nie! O tem nie myślał wcale. Ona była przecież całem szczęściem Mikity. Boże, jak ten człowiek promieniał, kiedy mówił o swojej miłości...

Przecież to było cudowne, że Mikita znalazł wreszcie szczęście! Jak to spotęguje jego artystyczną siłę: mózdz tworzyć dla tej kobiety i przez nią.

I znowu czuł jej wąską gorącą rękę na swoich wargach. Nie wzbraniała mu. Widział jej zamglony uśmiech, żar i blask około oczu... I czuł z nieskończonym zadowoleniem drżące ciepło wskrós swego ciała; oczy mu gorzały. Było mu tak gorąco i tak tęskno.

Chciałby teraz mieć przy sobie jakiegoś człowieka, którego mógłby otoczyć wielką czułością.

Janina!

Jak błyskawica zabłysła ta myśl w jego mózgu.

Ona była przecież taka dobra dla niego. Tak bardzo go kochała.

Przecież i on bardzo ją lubił. Więcej nawet, niż sobie to chciał przyznać.

Miłość jej wydala mu się nagle tak piękna. Dała mu wszystko, nie myślała o niczym, nie znała żadnych względów, należała do niego, tylko do niego.

Dziwna rzecz, że znajdował się w pobliżu. Co go tu przywiodło?

Tak, tylko jedna ulica jeszcze...

Stróż nocny otworzył mu bramę. Wbiegł na górę po schodach i cicho zapukał do jej drzwi.

— Eryk, ty?

Drżała gwałtownie.

— Cicho... tak, ja... tęskniłem za tobą... wsunął się do jej pokoju.

Namiętnie zawisała mu na szyi.

Jak rozkosznie odczuwał teraz tę namiętność.

— Tak tęskniłem za tobą.

I całował ją i głaskał i mówił do niej a ona traciła przytomność z nadmiaru szczęścia.

— To szczęście, to szczęście... szeptała bez przerwy.

Przyciskał ją silniej i silniej do siebie i nasłuchiwał i wkrzykiwał we własne sumienie: Mikita! Mikita!

Tak, teraz zapomniałem — zapomniałem o wszystkim — dla Mikity...

— Tak, Janino, jestem przy tobie, zostaną zostaną z tobą.

---

## V.

Nie powinien jej już nigdy widzieć.

To była jedyna jasna myśl, jaką sobie. zdołał uświadomić w ciągu całej bezsennej nocy Nie, już nigdy!

Budziła się w nim trwoga, bolesna trwoga.

Jak się to skończy? Jak zdoła stłumić to straszne pragnienie? W ciągu godziny zapuściła w nim kobieta te głębokie korzenie, które ogromną siecią opłotły całą jego duszę. Czuł, że rozpada się na dwóch ludzi i kiedy jeden z nich próbował kierować wolą jasno i trzeźwo, drugi rzucał mu nagłe w mózg myśli, które burzyły wszystkie jego postanowienia, głos obowiązku i głos sumienia. I coraz głębiej wżerała się w niego tęsknota i pożądanie, tak, że wił się bezradny z bólu i tęsknoty i nie mógł znaleźć spokoju.

Więc cóż się stało?

Ohé, les psychologues! Wytłómaczcie mi teraz, co się dzieje w mojej duszy, macie przecież taką moc psychofizycznych prawideł i regulek. Proszę bardzo, wytłómaczcie mi to!

Porwał się naraz.

Ale co się stało Mikicie?

Czy przeczuwał, co nadchodzi? Ale przecież nic się nie stało! Więc czemu był dzisiaj taki małomowny?

Musiał ją niezmiernie kochać. Cierpienie drgało na jego ustach.

Tak, Mikita czuje na tysięcznomilowe dystanse; tak, Mikita widzi, jak trawa rośnie... Ten ton, jakim go prosił, aby towarzyszył Izie do Iltisa. On sam ma bardzo dużo zajęcia, a Iza tak się cieszy na ten wieczór.

Czemu sam jej nie zaprowadzi?

Przyjdzie może później... Ale czyż nie mógł odłożyć swych zajęć do dnia następnego?

Falk powstał.

Nie! Nie będzie jej towarzyszył. Nie chce jej już widzieć. Teraz zdoła może jeszcze zapomnieć o niej. Teraz mogłaby jeszcze być li tylko pięknym wspomnieniem w jego życiu, tak — wspomnieniem, któreby mógł z czasem zużytkować literacko.

Literacko! Falk rozśmiał się szyderczo.

Zostanie w domu i odda się literaturze. He, he...

Uczul wściekły wstręt.

To głupie, bezmyślne pisanie! Czemu nie jest na tyle arystokratą, by nie prostytuować swoich najosobistszych, najsubtelniejszych i najwstydlivszych wrażeń? Czemu rzuca to wszystko na pastwę tłumu?

Wstrętne!

Nie! Teraz się namyśli. Tak. Już postanowił. Zostanie w domu.

Silne postanowienie sprawiało mu zadowolenie. Usiadł przy biurku i zaczął czytać.

Przeczytał stronicę i nic nie zrozumiał.

Potem wlepił oczy w sufit.

Bezwiednie przypomniał sobie chłopca z pewnego romansu Gogola, któremu sprawiało zadowolenie mechanicznego czytania, chociaż nie rozumiał ani słowa.

Skupił myśli i czytał dalej.

Jaki czar tkwił w jej ruchach?

To już nie były ruchy, leez mowa, najdoskonalszy wyraz jego własnego najwyższego ideału piękności — a ręka, jej ręka...

Zatrząsł się.

Gdyby tylko mógł o tem zapomnieć!

Musiał przecie napisać Mikicie, że z powodu nieprzewidzianej przeszkody nie będzie mógł towarzyszyć Idzie.

Usiadł i napisał kartkę pneumatyczną.

Jakby to było pięknie, móżdż kogoś posłać z kartą! Teraz musiał sam biedz na pocztę!

Wyszedł na ulicę. Coś pchało go pójść do niej, raz jeszcze ją zobaczyć, chłonąc powietrze, którem oddychała, raz jeszcze pić czar, który wokół promieniła.

Ale nie, nie — stokroć razy nie! Przecież zdoła się jeszcze przezwyciężyć?!

Tak, przezwyciężyć! Właśnie tak przezwyciężyć jak jeden z jego przyjaciół, dla którego najwyższym było pragnieniem, zobaczyć Rzym. I pojechał do Rzymu, ale na milę od miasta powiedział sobie, że człowiek powinien umieć się przezwyciężyć i powrócić. Kiedy jednak powrócił do ojczyzny, oszalał.

Tak, to są wyniki tego głupiego, śmiesznego przezwyciężania się. Czemu się przezwyciężać?

I przypomniał sobie słowa Heinego — jakże one brzmiały? Pięknie to było, kiedy zdołał się przezwyciężyć; jeszcze piękniej, gdy tego nie dokonał... Tak mniej więcej.

Tylko raziała go cyniczna ukryta myśl. Zdawało mu się, że kała Izę.

Ale dlaczego? W jakim stosunku mogła stać Iza do tej myśli.

I szedł i rozmyślał o tajemnych skojarzeniach, które dokonują się gdzieś w ukryciu, a potem nagle bez żadnego związku pojawiają się w mózgu.

Tak, pozornie bez związku. Podstępna, nieznana siła wie dobrze co łączy i kojarzy.

Rozmyślanie nad rozwiązaniem tego dziwaczного rebusu sprawiało mu przyjemność.

Oczywiście czynił to, tylko dlatego, aby inna natrętna i przykra myśl nie mogła się przedrzeć do świadomości.

Ale myśl o Mikicie przecież wydarła się.

A nie chciał o nim myśleć.

Zdawało mu się, że każdym razem uczuwa skurcz serca. Wszystkie krew napływała mu chwilami do serca. Sprawiało mu to straszny ból.

Dlaczego Mikita miał mieć prawa do jakiegoś człowieka, wyłączne prawa, niby rodzaj monopolu?

Zawstydził się nagle. ale równocześnie doznawał przykrego uczucia — tak rzeczywiście to było uczucie nienawiści — nie... niechęci...

Nie miał iść do niej ze względu na Mikitę! ze względu na Mikitę?! Rozśmiał się szyderczo. Eryk Falk uważa się za niezwyciężonego. Za pomocą pewnej od wieków ustalonej harmonii musi każdemu mężczyźnie

przyprawić rogi; każda narzeczona innego musi się w nim zakochać z nieprzepartą siłą.

Przecież to było niesłychanie śmieszne!

Gdyby sobie jeszcze powiedział: słuchaj, nie chodź tam, zakochasz się, a nie możesz się spodziewać wzajemności, bo ona przecież...

Wstrzymał się.

Miał takie dziwnie pewne uczucie, że ona jest mu bliższa niż Mikicie, czuł to dokładnie i Mikita musiał czuć prawdopodobnie, że Iza...

Nie, nie!

Ale jedno mógł zrobić z czystym sumieniem: być przynajmniej w jej pobliżu, tylko przez ulicę — w restauracji, — tam usiedzie i upije się, aby po prostu nie móżdż pójść do niej, tak! upije się.

Tak musi zrobić — tak robi!

Przed domem, w którym mieszkała Iza, zatrzymał się.

Teraz było już za późno! Teraz nie mógł już na czas zawiadomić Mikity. Cóż ma zrobić?

Mój Boże! ostatecznie musi iść do niej.

Serce biło mu gwałtownie, kiedy wchodził po schodach.

Zadzwoił.

Przestraszył się bardzo. Zdawało mu się, że głos dzwonka musi wywołać wzburzenie w całym domu.

Uciekaj! uciekaj! krzyczało coś w jego duszy.

Drzwi otwały się. Iza stała w korytarzu.

Spostrzegł, jak w jej oczach zabłysła radość i rozlała się po całej twarzy.

Uścisnęła mu serdecznie rękę... bardzo serdecznie.

Czy chciała przez to coś powiedzieć?

— Czy pan już wie, że Mikita przyjdzie dopiero później?

— Wiem, był u mnie dzisiaj.

— Więc pan pójdzie ze mną. Wszak to panu nie sprawi przykrości?

— Dla pani zrobię wszystko! Słowa te wyrwały mu się nagle z krtani.

Oboje zakłopotali się. Tak, musiał czuwać, aby znowu nie stracić panowania nad sobą.

Jak się to nagle stało, że nie zdołał się powstrzymać?

Usiedli, spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się. Falk czuł, że i ona była niespokojna.

Przewyciężył się i zaczął mówić o rzeczach banalnych.

— No, jak się pani wczoraj podobało?

— Był bardzo ciekawy wieczór.

— Iltis jest niezwykłym człowiekiem, nie prawda?

Uśmiechnęła się.

— Nie, nie! mówię to zupełnie poważnie.

Iza spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Tak, Iltis jest bezwarunkowo geniuszem — dyletantem. Wie wszystko, wszystko badał, wszystko czytał. Jego mózg pracuje zupełnie logicznie, ale dochodzi do tak dziwnych wyników, że niszczą zawsze całą jego pracę. I tak naprzykład niedawno ślęczał nad problemem, na jakim stopniu rozwoju ma umieścić dzieci. Nad tem naturalnie dobrze sobie łamał głowę. Najpierw porównanie z kobietami. Wszystkie dzieci są poczwarkami kobiet, albo innemi słowy, kobieta jest dzieckiem, które przestało się rozwijać. Dzieci i kobiety mają okrągłe kształty i delikatne kości. Dzieci i kobiety nie umieją myśleć logicznie, nie potrafią mózgiem opanować uczucia...

Ale w dalszym porównaniu wystąpiły trudności. Dzieci są czyste i niewinne, kobiety są złośliwe, zdradne, zalotne, są prawdziwymi służebnicami szatana.

Porównanie więc zgadzało się tylko powierzchownie.

Falk ożywiał się coraz bardziej.

— Ale jednego dnia — był znowu wczesny ranek, a w takich razach odprowadzałem zwykle Iltisa do domu.

Nagle Iltis staje przy moście i zapominając o wszystkim patrzy na łabędzie, które wielką gromadą wypływają z pod mostu.

Ogarnia go bajeczne podniecenie.

— Eryk, widzisz?

— Widzę.

— Co widzisz?

— Łabędzie.

— Nie prawda?



— Tak....

Iltis obraca się nerwowo.

W tej samej chwili nadchodzi przekupka z Jericho...

Falk rozśmiał się nerwowo.

— Bajeczna, ta przekupka z Jericho! Czy pani nie zna wspaniałego Lilienkrona?

— Nie! Iza ze zdziwieniem spojrzała na Falka.

Więc Lilienkron napisał poemat: Ukrzyżowanie — nie: „Rabbi Jeschua“. W orszaku...

— Ale jakże było z Iltisem?

— Zaraz, zaraz... Więc w orszaku, który towarzyszy pochodowi na Golgotę idą adwokaci, oficerowie, złodzieje kieszonkowi, naturalnie także psychologowie i przedstawiciele eksperymentalnego romansu, a wreszcie przekupka z Jerycho —

— Ale wtedy nie było przekupek, zauważył jeden z jego przyjaciół — Lilienkron oburzył się. Przekupka była przecież najwspanialszą postacią poematu! Właściwie cały poemat napisał li tylko dla stworzenia postaci przekupki...

Śmiała się „en camarade“. Była w jej śmiechu rzeczywiście koleżeńska szczerłość. chciałby ją zawsze tak widzieć; w takim razie staliby się przyjaciółmi, niczem więcej...

— Więc kiedy przekupka z Jerycho nadchodzi, Iltis chwytą garść bułek z koszyka i rzuca do wody.

To uszczęśliwia go.

— Widzisz?

— Widzę.

— Co widzisz?

— Łabędzie.

— Zabawne! I ja je widzę. Ale nie widzisz tego, co ja widzę moją intuicją: Łabędzie i dzieci stoją na tym samym stopniu rozwoju. Dzieci nie jedzą skórki, łabędzie także nie...

Iza śmiała się śmiechem nieco wymuszonym.

Falk zmieszał się. To było przecież śmieszne! Jak mógł przypuszczać, że zajmie ją temi dziecinnymi opowieściami. To było przecież zanadto

niesmaczne.

— Czy Iltis na seryo tak twierdził?

Falk usprawiedliwiał się.

— Nie, w całej opowieści nie ma ani słowa prawdy. Bardzo źle ją obmyślił, ale kiedy zaczął opowiadać, sądził, że lepiej się z niej wywiąże... Nie powinna mu tego brać za złe, jeżeli to mówi szczerze, ale opowiadał tylko dlatego, aby się nie nudziła w jego towarzystwie... Ma pragnienie, żeby się nie nudziła, chciałby być bardzo zabawnym i stąd wynika, że opowiada niezręcznie i to jeszcze takie idiotyczne rzeczy.

Iza zakłopotana się.

— Nie bierze mu tego chyba za złe?

— Nie.

Mrok zapadał; nastąpiła przykra przerwa. Mózg Falka zaczął się mieszać. Tysiące uczuć i myśli krzyżowało się i ubezwładniało wzajemnie.

— Czy Mikita był dzisiaj u pani? — zapytał tylko po to, aby coś powiedzieć, ale był zdumiony, dlaczego o to pytał.

— Tak jest, był tutaj.

— Był dzisiaj taki dziwny, co mu brakowało?

— Jest trochę nerwowy. Wystawa jego obrazów robi mu dużo kłopotu.

— Zdaje mi się, że się nic nie zmienił. Kochaliśmy się niezmiernie, ale czasem bywały przykre chwile. W ciągu godziny przechodził setki rozmaitych nastroi.

Iza szukała nowego tematu do rozmowy. Falk wyczytał to z nerwowego poruszenia ręki.

— A ja będę drużbą pani?

— Oczywiście. Spojrzała mu bystro w oczy.

Dlaczego tak bystro? Na jego ustach zarysował się nieokreślony uśmiech.

Izę dotknęło to niemile. Cóż ten uśmiech miał znaczyć?

— Tak, za trzy tygodnie przypadnie panu to szczęście w udziale.

— Cieszę się nadzwyczajnie. Falk uśmiechnął się uprzejmie.

Znowu nastąpiło milczenie.

Powstała.

— Pokażę panu rzecz, która pana zaciekawii..

Falk z uwagą przyglądał się wazie japońskiej.

— Cudowna! Niezwykli artyści, ci Japończycy. Widzą rzeczy, jak w fotografii błyskawicznej. Nie prawda? Dostrzegają przecież rzeczy, niedostępne dla naszej świadomości. Rzeczy, trwające tysięczną część sekundy — rozumie pani?

— Jak pan to myśli?

— Ja twierdzę, że mają zdolność zatrzymania w świadomości wrażenia, które dla naszej świadomości trwają za krótko, lub, jak to elegancko określają zawodowi psycholodzy: fizjologiczny czas jest za krótki, by takie wrażenie mogło dojść do świadomości...

Trzymał w rękach wazę i wpatrywał się w Izę.

— I mnie się to czasem zdarza, ale bardzo rzadko. I dziś na przykład — kiedy zobaczyłem panią na kurytarzu.. Po twarzy pani przemknął cień radości i zniknął w oka mgnieniu...

— Tak? widziałeś pan? zapytała ironicznie.

— Tak; był to niby błyskawiczny rozbłysk magnezyowego światła, ale przecież zobaczyłem. Nie prawda? Ucieszyła się pani, kiedy przyszedłem, a ja byłem tak niezmiernie szczęśliwy, widząc to —

Głos jego był taki szczery, taki serdeczny. Czują, że się czerwieni.

— Teraz zapewne już pójdziemy, rzekła.

— Nie, zatrzymamy się jeszcze chwilę; jeszcze zawcześniej... A oprócz tego, wie pani, jestem może zanadto szczery, ale muszę to pani powiedzieć, że czuję się tu niezmiernie szczęśliwy. Nie doznawałem nigdy, nie — nigdzie jeszcze podobnego uczucia...

Mrok zbliżał przecież dziwnie ludzi do siebie.

— To wszystko takie dziwne. Dziwne, że Mikita jest moim przyjacielem, że pani jest jego narzeczoną; dziwne jest uczucie, jakbym już znał panią od tysiąca lat...

Iza wstała i zapaliła lampę.

Światło rozdziela ludzi. Tak ona chciała stworzyć dystans.

— Szkoda, że Mikita nadejdzie dopiero później.

— Tak, wielka szkoda. — Był wzburzony. Znowu stanął mu przed oczyma Mikita. Śmieszne, żeby Mikita miał mieć wyłączny monopol na jakiegoś człowieka. No, temu nie można było zaradzić.

Spojrzał na zegarek.  
— Teraz czas. Teraz pójdziemy.

---

## VI.

W jaki sposób przyszedł mu nagle ten pomysł.

W środku obrazu chciał wymalować kobietę, tajemniczym uśmiechem wabiącą, zdradziecką, — a ze wszystkich stron, z dołu, z góry tysiące rąk, wyciągających się ku niej. Tysiące rąk krzyczących, hu, krzyczących za nią! Wątle, nerwowe ręce artystów; grube, mięsiste ręce bankierów z pierścieniami na palcach, tysiące innych rąk — orgię pożądlivych, lubieżnych rąk... A ona z wabiącym, tajemniczym spojrzeniem.

Mikita gorączkował.

Tak natychmiast musiał to malować. Szybciej, szybciej, inaczej wszystko zniknie, a potem przyjdą myśli, udręczenia, męki, kąsania tysiąca wściekłych szatanów. Falk nie jest łotrem! rozumiesz Mikito? Falk nie jest łotrem!

Wkrzykiwał to w swoje serce.

Ale potem zobaczył ich oboje zapatrzonych w siebie; widział ich spojrzenia, jak się ustawicznie w drżącym niepokoju splatały — ich uśmiech zakłopotania...

I dzisiaj u Iltisa! zapewne będą tańczyć! O tem nie myślał pierwej.

Taniec... taniec. Iza kocha taniec. Iza jest urodzoną tancerką. Ma tylko tę jedną namiętność!

Widział raz, jak tańczyła. Wszystko łamało się w nim. Te wyuzdane, bachanckie ruchy, to namiętne rozpasanie się w lubieżnych rozkoszach tańca...

To trzeba namalować — to! kochany panie naturalisto. To, jak dusza się roztwiera a z jej głębin wypełzają te przekłete potwory. Tę ochydę namalować... Piekielne jakieś usposobienie! Dlaczego nie mógł nigdy uwierzyć, że ona go kocha, że musi go kochać: tak — jego — jego! Przecież ma pewną wartość, choćby tylko jako artysta...

Przeklęte stosunki! Taki Liebermann wymaluje trzy głupie owce na polu kartoflanem, albo kartofle na polu, albo pole i kobiety, zbierające kartofle, i zyskuje za to pieniądze, i złote medale.

A ja namalowałem całą ludzkość i jeszcze coś więcej; coś, co leży poza człowiekiem, — a cóż zyskałem za to?

Nic? Głupi Mikito! Czyż nie widziałeś, jak miły tłum tarzał się od śmiechu w Hamburgu i w Paryżu no i oczywiście w Berlinie? Tak! więc to nie ma żadnej doniosłości?

A dowcipy we „Fliegende Blätter“? czyż nie ja dałem do nich temat?

Mam płacić podatki?! Boże, nie mieć kawałka chleba i płacić podatki! Piękne stosunki! Chcą mi zająć rzeczy z powodu zaległych zobowiązań, jakie mam wobec państwa! Cóż to jest państwo? Kto to jest państwo? Co ja mam z niem do czynienia?

— Czy to pańskie obrazy?

— Oczywiście moje! Przedstawiają wartość czterdziestu tysięcy marek. Czemu się pan śmiejesz?

Jakżeż nie mam się śmiać? któż to od pana kupi? Ani fenyga nie dostaniesz pan za nie. Niestety nie mam panu co zająć.

No więc, droga Izo, czyż nie jestem wielkim artystą?

Zaczął malować i śmiał się.

Ale duszę mu coś toczyło i toczyło. Kłułogo i wierciło, że aż podskakiwał.

Dziwna rzecz! Czem jest właściwie Falk?

Przecież nie spadłem ze stołu, jak mały Eyolf. Mój rdzeń pacierzowy jest zupełnie zdrowy. Mój mózg rodzi przecież pomysły...

— Czy ty pisałeś to wypracowanie Mikito?

— Oczywiście! ja sam pisałem panie profesorze.

— Czy ci ktoś pomagał?

— Któżby mi miał pomagać?

Mimo to widzę wyraźnie obcy wpływ, który w geometrycznej progresyji przejawiał się w wypracowaniu.

— Pięknie powiedziane, panie profesorze, ale wypracowanie sam pisałem.

— Mikita, nie bądź zatwardziały, przyznaj się, że Falk ozdobił jedwabnym haftem twoje filcowe pantofle. Gdzie Falk?

Ale Falk w takich razach nie przychodził nigdy do szkoły. Zawiadamiał o swojej chorobie i pisał wiersze w domu.

Mikita oprzytomniał i uderzył się pięścią w twarz. To przecież ohydne tak myśleć o Falku. No wymaluj pan, panie Liebermannie, tę drugą ohydne duszę, jak ciska człękowi w mózg garść błota! Wymaluj pan to, a daruję ci wszystkie moje obrazy, odstawię je ponadto własnym kosztem wprost do domu!

A Iza tańczy teraz — z Falkiem. On umie tańczyć — och, jak on tańczy! Czuł nienawiść.

Falku, kochany Falku, gdzież jest kobieta, która potrafi ci się oprzeć? Iza tańczy. Iza jest tancerką.

— Czy wierzyłaś w coś kiedykolwiek? Czy wiesz co to jest wiara? Oczywiście nie wiedziała.

— Czy wiesz, czym ty jesteś, Iza?

Nie, nie wiedziała.

— Nie znasz sama siebie, Izo?

— Nie.

A on, któremu wiara od tysięcy lat tkwiła w duszy! Tak, tak, dlatego też miał to śmieszne pragnienie, by posiadać całkowicie kobietę; dlatego ma wiarę w miłość, która przetrwa wieki cale.

Zerwał się.

Nie! nie pójdzie do Iltisa; nie! Teraz zobaczy, czy potrafi przewyciężyć się... Tak! iść tam i stać i patrzeć, jak zwisa w ramionach Falka, przytulona... he, he — wlepiona w niego — hu, hu — —

Mikita zrzucił ze siebie bluzę. Było mu tak strasznie gorąco.

Stać tam i patrzeć! Otello ze sztyletem pod płaszczem...

A Iltis mróży oczy i mówi do Ssaka: „Temu taniec Izy podrywa nerki“... Bolesny niepokój szarpał mu mózg.

Nie. już nie! Przecież raz wreszcie musi przyjść do rozumu.

Jakiż miał powód wątpić w Izę?

Żadnego, zgoła żadnego.

Więc czegoż chciał do wszystkich djabłów?

Niepokój jego wzrastał. Ból stawał się nieznośny. — Pójdzie! Pójdzie! Musi przecież pokazać Izie, że jest teraz rozsądny, że przestał wątpić. Tak, weselić się i tańczyć! Tego właśnie nie umiesz drogi Mikito! Skaczesz przecież jak kłown w budzie jarmarcznej. A oprócz tego mały jesteś... mniejszy od Izy.

Wspaniała para! wspaniała para ich dwoje!

Mikita musiał usiąść. Zdawało mu się, że ktoś przeciął mu kosą wszystkie ścięgna.

Do licha, to boli!

— Mikita, chodź tutaj na chwilę.

— Co panie profesorze?

— Widzisz, Mikita, to właściwie bezwstydnie, napisać jako apologię takie niedorzeczności... I gdybyś był przynajmniej sam to napisał, ale to dzieło Falka...

Jak się to stało, że nie wypoliczkował tego starego głupca?

Nagle powstał.

Czy ja oszalałem? czegoż ja chcę od Falka, czego od Izy?

Przeraził się. To były już przecież objawy chorobliwe.

To już nie po raz pierwszy; powtarzało się to ustawicznie. Przypomniał sobie jak pojechał raz do Bretanii, by wreszcie porządnie popracować.

Śmieszny Mikita! He, he! Bajecznie pracował! Na drugi dzień wskoczył do pociągu; w napadzie szaleństwa i zazdrości popędził do Paryża; prawie obłąkany stanął przed Izą.

— Już wróciłeś? Wydał się jej tak niezmiernie zabawmy.

Chciałby się wtedy zapaść pod ziemię ze wstydu.

Widzisz, Mikita — zaczął głośno mówić z sobą — jesteś osioł, skończony osioł. Miłość trzeba brać! Nie wątpić, nie macać palcami i wiecznie kręcić się, jak kot około gorącej polewki, nie! Brać, gwałcić dumnie i świadomie... Wtedy się ją ma! Ujarzmić! Nie jak podarunek, nie jak jałmużnę! Nie mój drogi Mikito, wyżebrać jej nie można.

Tak, teraz tańczą...

Zaczął śpiewać jedyną piosnkę uliczną, jaką zapamiętał:

Venant des nocés belles

Au jardin des amours —



Que les beaux jours sont courts!

Wspaniałe! i do tego rysunek Steinlena w Gil Blas. Komiczny clown, którego dziewczyna po twarzy pierze.

Wspaniale, wspaniale!

Venant des nocces belles,

J'etais bien fatigué.

Je vis deux colombelles

Une pastoure, ô gue!

A przecież nie było wątpliwości! nie, drogi Mikito, jakby to było pięknie, gdybyś nie potrzebował wątpić. Nie prawda Mikitko?

Wczoraj w dorożce...

Powstał i niespokojnym krokiem chodził po pokoju.

Zawsze pytała mnie przecież: Co ci jest, Mikito?

Zawsze głaskała mnie po rękach.

Zawsze w milczeniu kładła głowę na mojej piersi.

Wczoraj nic! ani słowa!

— Dobra noc, Mikito!

— Good-bye, panno Izo, Good-bye!

Teraz zaczął śpiewać w pracowni silnym i fałszywym głosem:

Venant des nocces belles

Au jardin des amours...

---

## VII.

— Nie, nie moje dziecko, pozwól sobie powiedzieć, że wszyscy uczeni to głupcy.

Iltis siedział otoczony grupą młodych ludzi i wykladał im swoją mądrość.

Dziwna rzecz, że nie wspomniał jeszcze o swoich czterdziestu pięciu latach.

Falk nie mógł mu zapomnieć wczorajszej cynicznej uwagi.

Cały wieczór szukał sposobności, aby Iltisowi dokuczyć.

Wszyscy! Ja przynajmniej nie znam żadnego rozsądnego. Słuchajcie tylko: oto, co cechuje panów profesorów. Podróżowałem raz z prywatnym docentem geologii. Miał robić pomiary, ale igła magnetyczna nie chciała się uspokoić.

Aha! mówi mądry docent prywatny; mam w kieszeni magnes. — Dobrze, odrzuć go, mówię.

Magnes zrobił młyńca w powietrzu i padł daleko. Ale igła jeszcze nie chciała się uspokoić. — Masz pewnie scyzoryk przy sobie? Tak, rzeczywiście mądry człowiek miał scyzoryk. Odrzucił go. Ale igła była jak zaczarowana. Stoisz zapewne na pokładzie rudy żelaznej, ośmielam się zauważyć. Czyż nie możesz jej także odrzucić? Nie! tego nie mógł ten mądry człowiek zrobić.

Więc tak dokonuje się pomiarów; na podstawie takich wyników buduje się, Bóg wie jakie, teorie.

— Ale czy to jest pewnikiem, że ruda żelazna była przyczyną? spytał Falk.

Iltis spojrzał na niego zdumiony.

— Oczywiście!

— No widzisz, z przyczynami to zawsze niepewna historia. Rzadko tylko można podać przyczynę, któraby nie była fałszywą. Czy możesz mi

naprzykład, aby wrócić do twego ulubionego tematu, podać przyczynę upośledzenia kobiet?

— Otwórz tylko pierwszy lepszy podręcznik fizjologii.

— Oddychanie? No, te dowody są wprost śmieszne. Dzieci obojga płci oddychają aż do dziesiątego roku życia z pomocą brzucha, a również i wszystkie kobiety, które nie noszą gorsetu, jak chinki i kobiety z Yuma. Istniejący obecnie typ oddychania u kobiet jest wytworzony sztucznie, jak to można wykazać na indyankach szczepu Czikasawa...

— To są opowiadania uczonych, kochany Falku, dowodzą one właśnie coś wprost przeciwnego.

— O nie, te opowiadania są podane przez ludzi bezparcyalnych... ale i drugi dowód, że kobieta stoi na niższym stopniu rozwoju, bo kształtem i rozmiarem zbliża się do dziecka, jest chybiony. Przemawia to przeciwnie za wyższością kobiety. Typ dziecka wykazuje właściwe znamiona rodzaju ludzkiego, gdy przeciwnie typ męczyzny, morfologicznie pojęty, dowodziłby przechodzenia w starczość.

— To jest metafizyka, kochany Eryku. Ty w ogóle zanadto jesteś przejęty metafizyką.

— Być może. Ale jest faktem, że doszedłeś do twoich wyników, tylko wskutek pomieszania morfologicznych pojęć o wyższym i niższym rozwoju.

Iltis patrzył na niego, nie rozumiejąc nic.

— Tego nie rozumiem.

— Nie jest to też koniecznym. Falk szukał oczyma Izy. Poco w ogóle mówić. Jeżeli tu przyszedł, to nie po to, aby rozmawiać o morfologii. Chce tańczyć...

— Soyons amis, Cinna! Na zdar! krzyknął Iltis.

Ktoś zaczął grać walca.

Falk zbliżył się do Izy. Stała w głębi wielkiego atelier. Uśmiechnęła się do niego. Nie! tego nie można było analizować tego ssącego uśmiechu; zdawało się, że półcień, w którym stała, uśmiecha się tajemniczo.

— Czy pani tańczy?

Skrawek światła przemknął przez jej twarz.

— Wolno panią presić? spytał Falk i zadrzał.

Krew uderzyła mu nagle do głowy, kiedy tulił do siebie jej smukłą postać.

Wpadł w wir, który go porwał. Czuł, jak się zrośli, jak ona stała się częścią jego duszy a on wirował w okół siebie samego, sam z sobą.

Nie widział jej, bo była w nim. I ssał w siebie rytm i linię i rozkosz jej ruchów i odczuwał wszystko jak przyływ i odpływ w swej duszy, co wzrastał i nikł, potężniał i bezwładniał...

A potem nagle: Uczucie czegoś niezmiernie gładkiego, chłodzącego — jakiejś miękkiej, szklistej powierzchni. Czuł ją. Przytuliła się twarzą do jego twarzy.

Radość wytrysła płomieniem z jego duszy; przycisnął ją gwałtownie do siebie.

Należała do niego!

Zapomniał o wszystkim. Postacie otaczających spłynęły w krwistoczerwony pas, który jak pierścień słoneczny wirował w koło niego. Czuł tylko siebie i tę kobietę, która była jego.

Nie słyszał muzyki, muzyka była w nim, cały świat rozbrzmiał i rozszalał się w nim i krzychał gorącym pragnieniem, a on niósł ją przez cały świat i był wielki i dumny, że ją tak mógł nieść.

Kto była Iza, kto był Mikita?

Tylko on, on jeden istniał, a ona była jego częstką, którą tulił do piersi.

Upadli znużeni na sofę.

Wokoło była wrzawa. Do jego uszu dochodziły wzburzone, oderwane słowa, których nie rozumiał; ciągle jeszcze widział kołujący w koło niego krwisto-czerwony pierścień słoneczny.

Oprzytomniał. Czerwone mgły rozprószyły się, widział długie wąskie pasma dymu tytoniowego.

Leżała na wpół na sofie i oddychała z trudem, oczy jej były szeroko rozwarte.

Ujął lekko jej rękę, siedzieli sami, nikt nie mógł ich widzieć.

Odpowiedziała gwałtownym, nerwowym uściskiem.

I ściskali się silniej i silniej za ręce.

Zbliżała się do niego — opadała prawie — bliżej — bliżej: głowy ich stykały się.

Nie opierała się, czuł jak mu się oddawała, jak kładła się w jego serce: w gorące łożo krwi jego serca.

Nagle wyrwała się.

— Panie Falk, pozwoli pan przedstawić sobie pierwszego niemieckiego mecenasa sztuki —

Szermer uśmiechał się złośliwie — mecenasa niemieckiej narodowości z krwi i ciała... Pan Buchenzweig.

Pan Buchenzweig skłonił się głęboko.

— Pan Szermer wprowadza mnie w pańskie miłe towarzystwo z większą pochwałą, niż na nią zasługuję, ale mogę śmiało powiedzieć, że sztuka zajmuje mnie bardzo.

Pan Buchenzweig usiadł i przerwał na chwilę.

Wyglądał śmiesznie. Bez zarostu, twarz nalana, oczy bez brwi.

— Pańska książka, panie Falk, zajęła mnie w najwyższym stopniu i oczarowała.

— Cieszę się bardzo.

— Pan Buchenzweig zajmuje się sztuką nadzwyczajnie — Szermer silił się, by ukryć, że jest podпиты.

— Tak, tak...

— Wiesz pan, dlaczego? Buchenzweig mówił melancholijnie i wyduł dolną wargę. Wiesz pan, dlaczego? Po wielu zawodach postanowiłem, szukać w sztuce pociechy...

Saak zbliżył się do nich.

— No, panie Falk, odkryłeś pan znowu jaki nowy geniusz?

— To pan widocznie nie odkrył jeszcze siebie?...

Iza była niespokojna, słuchała z roztargnieniem. Jak to nagle nią owładnęło? Jak mogła to zrobić? Oddać się Falkowi... Było to przecież śmieszne, że pozwoliła obcemu człowiekowi, którego dopiero wczoraj poznała, tak się zbliżyć do siebie. Czuła wstyd i niepokój, bo wiedziała już, że ten człowiek był jej bliższy niż sama sobie chciała to przyznać.

— Wiesz pan, panie Buchenzweig, szydził Szermer, pan jesteś rzeczywiście człowiekiem, którego sztuka zajmuje — mówisz pan przecież wiecznie o niemieckiej sztuce i tym podobnych plagach — więc zrób pan

coś dla niemieckiej sztuki! Zrób pan coś! pożycz pan biednemu niemieckiemu artyście, mnie na przykład, 200 marek, tak, zrób pan to...

Pan Buchenzweig wydał dolną wargę i włożył do kieszeni w spodniach palec wskazujący. Nie zwracał pozornie uwagi i z ukosa patrzył na Izę.

Jak wstrętny wydawał się jej ten człowiek. Ale dlaczego Mikita nie przychodził? było już tak późno.

— Czy masz pan wogóle 200 marek? Szermer rozśmiał się z jawnym szyderstwem. Ile fenygów liczy pański milionowy majątek?...

Że też ten człowiek się nie obraził... Izie obrzydło nagle całe towarzystwo.

Dlaczegoż nie przychodzi. Czego chce znowu od niej?

Czuła znużenie. Ta ustawiczna zazdrość... Ale on miał tylko ją, nie miał nikogo prócz niej. Oczywiście nie przyjdzie... Siedzi teraz w pracowni, dręczy się, szaleje, biega w kolo..

Słuchała. Falk mówił takim podrażnionym głosem.

— Daj mi pan już spokój z tą wieczną gadaniną o literaturze. Mamy ważniejsze sprawy, niż kłótnie o to, komu przynależy pierwsze miejsce w literaturze niemieckiej, Hauptmannowi czy Sudermannowi.

— No, no, Ssak był bardzo zirytowany. Jest przecież olbrzymia różnica między obydwojoma...

— Ależ nie myślę ani przez chwilę wątpić w to. Ja sam jestem czcicielem Hauptmanna. Najwyżej cenię jego liryczne utwory. Czytałeś pan prolog, napisany na otwarcie niemieckiego teatru? Nie, to przecież najkosztowniejsza perła naszej współczesnej liryki. Ha, ha, ha... Posłuchaj pan tylko:

Und so wie es uns, den Alten  
Doch gelang in diesem Hause,  
Wollen wir die Fahne halten  
Ob der Strasse Marktgebrause!

— Zapomniałeś pan o najwspanialszej zwrotce; jakże się zaczyna? To z dziewięćdziesięciu cebulami i z błyskiem cudownego płomienia i — no, wszystko jedno, ha, ha, ha... perła... jak Boga kocham, perła!

Ssak rzucił Szermerowi pogardliwe spojrzenie i mówił podniosłym głosem:

— Nie wiem, Falk, czy to pańskie przekonanie, czy szyderstwo, ale pomyśl pan, człowiek, który napisał „Tkacze“...

Szermer przerwał mu gwałtownie:

— To nie robi już żadnego wrażenia. Zanadto już nas szmaty dziennikarskie przyzwyczały do strejków, głodomorów i gwałtów publicznych!

Ssak twierdził, że to nieprzyjemna rzecz, znajdować się w towarzystwie człowieka pijanego, na co w odpowiedzi usłyszał kilka niekoniecznie pochlebnych słów. Grupa rozdzieliła się. Tylko Iza i Falk zostali.

Czuł ją nagle tak daleko od siebie, tak nieskończenie obcą, tak obcą... Był bardzo rozdrażniony. Oczywiście siedzi teraz jak na szpilkach i czeka na Mikitę. Doznawał gwałtownego bólu.

— Nie, panie Falk, Mikita już dziś nie przyjdzie, rzekła nagle.

— Niech pani zostanie tu jeszcze. Może przyjdzie lada chwilę.

— Nie, nie. Nie przyjdzie. Muszę teraz iść do domu. Jestem tak znużona. Towarzystwo mnie nudzi. Nie zostanę tu dłużej.

— Czy mogę pani towarzyszyć?

— Jak pan chcesz...

— Falk zagryzł wargi. Widział jej niepokój.

— Może pani nie życzy sobie, bym jej towarzyszył?

— Nie, nie... proszę, ale chodźmy już do domu... chodźmy...

---

## VIII.

Wyszli przed bramę.

— Czy mam sprowadzić dorożkę?

— Nie, nie, pójdziemy.

Mikita był dziwnie bezwzględny. Przyrzekł, że przyjdzie z pewnością. Dlaczegoż nie przyszedł? O co był znowu zazdrosny? Nie, to nużyło ją już zanadto. Bolało nawet. Czuła się, jakby związana. Zaledwie śmiała mówić z ludźmi. Ustawicznie czuła na sobie jego badawczy, podejrzliwy wzrok.

A ta historia we Frankfurcie! Nie tego już było za dużo — zanadto ją męczył. Czyż nie mógł zrozumieć tej radości, gdy się nagle spotka rodaka w obcym mieście? Ale on poszedł do drugiego pokoju i pisał listy, by ukryć swą wściekłość.

Szli przez zwierzyniec.

Ciepłe powietrze marcowe uspakajało ją powoli.

— Teraz oczywiście będzie się na nią gniewał, że godzinami całymi nie czekała na niego u Iltisa,

— Czy możesz pan sobie wytłumaczyć, panie Falk, dlaczego Mikita nie przyszedł?

— Och, zapewne znowu zły humor...

W tej chwili Falk zawstydził się...

— Zapewne męczy się przy pracy, a wtedy niechce widzieć nikogo, tem mniej zaś nudzić się w takim towarzystwie.

Milczeli.

Była taka dziwna cisza. Ciemne uczucie trwogi i niepokoju wkradło się w jej duszę.

Jak to dobrze, że Falk był przy niej!

— Czy mogę pani podać ramię?

Była mu niemal wdzięczna.

Teraz szli wolniej.



Myślała o wieczorze, myślała o tańcu, ale nie czuła już wstydu, nie czuła już niepokoju, nie, przeciwnie... ogarniało ją jakieś miękkie, przyjemne ciepło.

— Dlaczego pan milczy? Głos jej brzmiał niemal tkliwie.

— Nie chciałem być natrętnym. Przypuszczałem, że rozmowa będzie pani nieprzyjemnia.

— Nie, nie, mylisz się pan. Towarzystwo zdenerwowało mnie, dlatego byłam niespokojna; teraz się cieszę, żeśmy — sami.

Mówiła nadzwyczaj serdecznie.

— Widzi pani, panno Izo; Falk uśmiechnął się cicho; miałbym właściwie dostateczny powód, milczeć i głęboko rozmyślać nad sobą...

Czul, że słucha go z uwagą.

— Widzi pani — to niezwykle — to dziwne.. Niech pani nie rozumie mnie fałszywie — mówię z panią o tem, jak o zagadce, jak o tajemnicy, jakby o cudzie wskrzeszenia lub o czymś podobnym...

Falk odchrząknął. Głos jego drżał trochę.

— Kiedy byłem jeszcze w gimnazjum, podobała mi się nadzwyczajnie jedna idea Platona. Uważa on mianowicie życie ziemskie tylko za odzwierciedlenie życia, jakie przeżyliśmy już kiedyś jako idee. Wszystko, co widzimy, jest tylko wspomnieniem, anamnezą tego, co widzieliśmy już dawniej, zanim przyszliśmy na świat.

Widzi pani — wówczas lubiłem tę ideę dla jej poetycznej treści, teraz myślę o niej bezustannie, bo się urzeczywistnia we mnie samym.

Opowiadam pani ten wypadek — zupełnie obiektywnie, jak opowiadałem wczoraj o odporności fakirów na działanie ognia. Nie powinna mnie pani źle zrozumieć... Jestem właściwie dla pani całkiem obcym człowiekiem...

— Nie, nie jesteś pan dla mnie obcym...

— Nie jestem? Rzeczywiście nie? Nie uwierzy pani, jak mnie to cieszy. Dla pani, tylko, tylko dla pani nie chciałbym być obcym. Widzi pani, mnie nikt nie zna; wszyscy mnie nienawidzą, bo nie mogą mnie zrozumieć; są niepewni i podejrzliwi... ale pani chciałbym otworzyć całą moją duszę...

Zająknął się. Czy nie posunął się za daleko? Nie odpowiadała, pozwalała mu mówić.

— Więc, ale cóżto chciałem powiedzieć... więc wczoraj, wczoraj... dziwne, że się to dopiero wczoraj stało... Kiedy wczoraj zobaczyłem panią, znałem panią już dawno. Musiałem panią gdzieś widzieć. Oczywiście nie widziałem pani nigdy, ale znałem panią przecież... Dzisiaj znam panią już sto lat i dlatego mówię pani wszystko to; muszę to wszystko powiedzieć...

Tak, a potem... zwykle umiem panować nad sobą; ale wczoraj w dorożce — zmogło mnie na raz; musiałem pocałować rękę pani, i jestem wdzięczny, że pani jej nie usunęła..

Nie rozumiem tego... Zawsze widzę wszystkich ludzi w oddali, moja dusza jest dziewicza, nie zezwoli żadnemu człowiekowi zbliżyć się do siebie, ale panią czuję w sobie, czuję każdy ruch pani, spływający po moich nerwach — wtedy widzę innych ludzi jako ognisty pierścień, tańczący wkoło mnie...

Iza była jak zahypnotyzowana. Nie powinna tego była słuchać... Czują oczy Mikity, jak duszę jej do dna przewiercały... Ale te wrzące, namiętne słowa... żaden człowiek jeszcze nie mówił tak do niej...

Falk wpadł w wir, który go rwał coraz głębiej. Obojętnem mu było, co teraz mówił. Nie starał się też dłużej panować nad sobą. Musiał mówić dalej. Zdawało mu się, jakby coś roztworzyło się w jego duszy i teraz tryskał niczem niewstrzymany żar.

— Nie żądam niczego od pani, wiem, że nie wolno mi żądać. Pani kochasz Mikitę...

— Tak, odpowiedziała niedbale.

— Tak, tak, tak, wiem to; wiem także, że wszystko co mówię, jest głupie, bardzo głupie, śmieszne; ale muszę mówić. To jest najważniejszy wypadek mojego życia. Nie kochałem nigdy i nie wiedziałem, co to jest miłość, uważałem ją za śmieszne, chorobliwe uczucie, które ludzkość powinna przezwyciężyć. A teraz nagle się zrodziło... W jednej chwili: kiedy zobaczyłem panią w tym roztopie czerwonego światła, kiedy spytałaś pani tym zagadkowym, przymglonym głosem: Więc to pan...

I głos pani wydawał mi się znany. Wiedziałem, że pani właśnie musisz tak mówić, oczekiwałem tego. Wiedziałem także, że kobieta, którą mógłbym pokochać, musiała wyglądać tylko tak, tylko tak jak pani...

Zagadka mojej duszy rozwiązała się, wszystko, czego dotychczas nie znałem, głębia — otchłań...

— Nie, panie Falk, nie mów pan dalej, proszę pana nie mów. To mnie boli, bardzo boli, że masz pan cierpieć z mojej przyczyny. Ja nie mogę przecież dać panu niczego, niczego...

— Wiem o tem, panno Izo, wiem o tem bardzo dobrze. Nie żądam niczego. Chcę tylko powiedzieć to pani...

— Wiesz pan przecież, że kocham Mikitę.

— I gdybyś pani tysiąc Mikitów kochała, musiałbym ci to powiedzieć. To konieczność, mus...

Nagle umilkł.

Czego właściwie chciał?

Rozśmiał się.

— Czemu się pan śmiejesz?

— Nic, nic, panno Izo, oprzytomniałem.

Stał się poważnym i smutnym.

Podniósł jej rękę do ust i ucałował ją. Czuł tylko gorączkowy żar tej długiej, wąskiej ręki.

— Nie gniewaj się pani na mnie. Straciłem panowanie nad sobą. Powinnaś mnie pani zrozumieć. Ja nigdy w mojem życiu nie kochałem. A teraz spada na mnie to nowe, nieznane uczucie z taką siłą, że ogłusza mnie. Zapomnij pani o tem, co powiedziałem.

Uśmiechnął się smutnie.

— Już nigdy nie będę pani o tem mówił. Będę panią zawsze kochał, bo muszę, bo pani jesteś moją duszą, moją głębią i świętością, bo pani jesteś właśnie tem we mnie, że Ja jestem Ja, a nie ktoś inny.

Znowu pocałował ją w rękę.

— Zostaniemy przyjaciółmi — nie prawda? I będzie pani miała miłą świadomość, że jesteś najwspanialszem, najpotężniejszem zdarzeniem mojego życia, mojem...

Głos jego złamał się, całował tylko jej rękę.

Milczała i ścisnęła gwałtownie jego rękę.

Falk uspokoił się.

— Nie gniewasz się pani na mnie?

— Nie.

— I będziesz moją przyjaciółką?

— Tak.

W milczeniu przeszli resztę drogi.

Naprzeciwko mieszkania Izy była restauracja, która jeszcze była otwarta.

— Jesteśmy teraz przyjaciółmi, panno Izo; czy mogę panią prosić, abys wypła ze mną kieliszek wina. Utrwalimy naszą przyjaźń.

Iza wahała się.

— Wyświadczysz mi pani niezmierną laskę. Chciałbym chętnie mówić z panią tak en bon camarade.

Weszli.

Falk zamówił burgunda.

Byli sami. Pokój był oddzielony portyera.

— Dziękuję pani, nie miałem nigdy przyjaciela...

Izie cisnęło się na usta imię Mikity, ale milczała. Było jej przykro wymawiać to imię.

Przyniesiono wino.

— Pani pali?

— Tak.

Iza oparła się na sofie, zapaliła papierosa i puszczała kółka w powietrze.

— Zdrowie naszej przyjaźni. Spojrzał na nią z taką serdeczną tkliwością.

— Jestem taki szczęśliwy, panno Izo, pani tak dobra dla mnie, a zresztą — nie prawdaż? — nie żądamy nic od siebie; jesteśmy tak swobodni...

Znowu ujrzał żar w koło jej oczu... Nie! Nie chciał go widzieć. Wypił chciwie kieliszek wina, nalał znowu i zamyślił się.

— Tak, tak, dusza jest dziwną zagadką...

Milczenie.

— Znasz pani pisma Nietzschego? Podniósł głowę.

— Tak.

— A to miejsce z Zarathustry: Noc jest głębsza, niżeli dzień pomyśleć jest w stanie.

— Skinęła.

— Hm! nie prawda? Uśmiechnął się do niej. Dusza jest także głębsza, niż wtedy, gdy się przejawia w głupiej świadomości...

Spojrzeni na siebie. Oczy ich wpiły się w siebie.

Falk znowu patrzył w kieliszek.

— Jestem właściwie zawodowym psychologiem. Rozumie pani: zawodowym. To znaczy: oznaczałem szybkość przyjmowania wrażeń, oznaczałem czas, w jakim wrażenie, odebrane zapomocą zmysłów, dochodzi do świadomości, ale o miłości nic się nie dowiedziałem... Wtem nagle... No tak! Zdrowie pani!

Wypił.

— Nie, nie, z tych wszystkich pomiarów nic nie wynikło. Dzisiaj w nocy moja dusza nauczyła mnie więcej, niż cztery, pięć lat, strawionych przy nauce tak zwanej psychologii... Miałem sen... Podniósł głowę. Ale czy pani się nie nudzi?

— Nie, nie...

Uśmiechnęli się do siebie.

— Tak, śniło mi się dzisiaj, jechałem z panią okrętem na morzu.

Było ciemno; ciężka, gęsta mgła zaległa nad okrętem, mgła, która wnikała aż do wnętrza okrętu, ciężka jak ołów, parna, przerażająca...

Siedziałem z panią w salonie i mówiłem — nie, nie mówiłem. Coś mówiło w mojej duszy — bezdźwięcznie, i głos był także bezcielesny, ale pani rozumiałaś mnie.

A potem wstaliśmy. Wiedzieliśmy oboje, wiedzieliśmy dobrze, że się stanie — rzecz straszna...

I stała się.

Przerażający trzask, jakby jakieś słońce się oberwało, piekielny łoskot, jakby nagle masy lodowców runęły na ziemię: Parowiec jakiś wbił się w nasz okręt.

Tylko my oboje nie czuliśmy trwogi. Widzieliśmy tylko siebie, rozumieliśmy się i trzymaliśmy się silnie za ręce.

Ale nagle znikła mi pani z oczu.

Ujrzałem się naraz na łodzi ratunkowej, morze rzucało ją aż pod niebo, i ciskało znowu w bezdenną przepaść.

Wszystko, co się ze mną działo, było mi obojętne. Tylko straszliwy, szalony lęk, co się z panią stało, rozsadzał mi czaszkę. Wtem: ujrzałem, jak parowiec tonął z niesłychaną szybkością, ujrzałem tylko potężny maszt sterczący jeszcze w górę, a na nim, na wierzchołku panią... W tej samej chwili rzuciłem się w morze, pochwyciłem panią, a ty bezsilna obwisałaś w moich ramionach, ubezwładniona. Ciężyłaś niezmiernie. Nie mogłem się dłużej utrzymać na powierzchni, jeszcze chwila, a musieliśmy oboje zatonać.

Nagle mgła i chmury skłębiły się w olbrzymią postać. Po przez całe niebo rozparła się zimna straszliwa, obojętna.

Falk uśmiechnął się z dziwnym zakłopotaniem.

Było to morze i niebo, byłem ja i pani, cały wszechświat: los, przeznaczenie! panno Izo.

Ogarnęła ją trwoga. Patrzył na nią tak dziwnie.

Nagle przerwał.

— Dziwny sen, nie prawda? — zapytał z uśmiechem.

Siliła się na obojętność; nic nie odpowiedziała.

Przez chwilę patrzył na nią swojemi wielkimi oczyma, żarzącemi się jak w gorączce. Potem znowu patrzył w kieliszek.

— To jest pierwsze objawienie przeznaczenia i konieczności w mojem życiu.

Głos jego brzmiał monotonnie, miarowo z odcieniem pewnego zaniedbania. Przykuwał ją, miał w sobie coś hypnotyzującego. Musiała go słuchać.

— Nie wiedziałem także, co to jest konieczność. Ale teraz wiem. Widzi pani, szedłem przez życie obojętny na wszystko, nie przeczuwając nic złego; tak silnie panowałem nad moim mózgiem; nie było uczucia, któregobym nie był mógł pokonać, tak... nagle zjawiasz się pani, pani, dziwny praobraz mej duszy, pani, idea, którą widziałem niegdyś w innym bycie, pani, która jesteś właściwie całą tajemnicą mojej sztuki...

Więc widzi pani, byłem taki twardy, taki silny i zimny, a teraz stajesz mi pani w poprzek mej drogi i całe moje życie streszcza się w tem jednym zdarzeniu. Opanowujesz mnie pani, że o niczem innem nie mogę myśleć; stajesz się treścią mego mózgu...

— Nie, Falk, nie mów pan o tem. Tak mnie męczy myśl, że ja mam być powodem pańskiego nieszczęścia...

— Nie, panno Izo, myli się pani. Jestem szczęśliwy, pani zrobiłaś ze mnie nowego człowieka, pani dałaś mi niezmierzone bogactwo — nie żądam od pani nic, wiem, że kochasz Mikitę...

Iza czuła, jak niepokój w niej się wzmaga. Zapomniała zupełnie o Mikicie. Nie! Nie powinna tu dłużej siedzieć. Nie powinna nic więcej słuchać. Podniosła się.

— Teraz pójdę.

— Zostań pani, zostań jeszcze chwilę.

Coś zmuszało ją, by zostać, ale przypomniała sobie Mikitę. Trwoga i niepokój rosły. Zerwała się.

— Nie, nie, teraz muszę iść; nie mogę siedzieć dłużej, muszę, muszę — jestem taka zmęczona...

Falk z trudem stłumił nerwowy śmiech.

---

## IX.

Przed bramą domu zatrzymali się.

Falk otwierał drzwi. Było trudno znaleźć dziurkę od klucza.

Wreszcie.

Weszła do sieni. On szedł za nią. Znowu stanęli.

Czegóż chciał jeszcze?

— Dobra noc, Falk.

Trzymał silnie jej rękę, głos mu drżał.

— Zdaje mi się jakbyśmy się musieli serdeczniej pożegnać.

Drzwi były wpółotwarte. Światło latarni padało szerokim pasem na jej twarz.

Spojrzała na niego tak dziwnie, z takim zdumieniem. Zawstydził się.

— Dobranoc...

Usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach. Nasłuchiwał. Lekko i szybko wchodziła po schodach.

Teraz zrobił kilka kroków.

Nagle bezwiednie krzyknął ze wszystkich sił. Cóż to miało znaczyć?

Czy chciał wyładować swoją siłę w bezwiednych rykach? Przepysznie! Był wspaniałym osłem. Nieprzyjemne! Jakież to było głupkowane i mazgajskie to — to o tem serdeczniejszym pożegnaniu. Och jak zabawnym, jak niezmiernie zabawnym musiał się jej wydać.

On wielki, gardzący szyderca, nagle zakochany jak żak.

Boże, jakżeż to było nieprzyjemne—a przytem jeszcze wspomnienie, które nagle zaczęło go dręczyć.

Skończył wówczas 13 lat, kiedy pierwszy raz próbował się zakochać. Czuł się niezrównanie wielkim. Te głębokie, genialne rozmowy, które prowadził z panią swego serca... poezya Schillera i Lenaua... A żółte rękawiczki, które sobie kupił...

Pewnego wieczora ordynaryusz klasy pochwyił go na tête à tête.



A następnego dnia... cudownie!

Zadzwoniono. Pauza dziesięciu minut.

Wszyscy rzucili się na podwórze szkolne.

— Falk, zostaniesz tutaj.

Wiedział już, co go czeka.

— Pojź tu!

Szedł do katedry, jak na stracenie.

— Przynieś stołek!

Przyniósł.

— Połóż się!

Położył się.

Gruby pręt trzciny zaświstał w powietrzu, drżał, giął się, spadał i świstał coraz szybciej, coraz boleśniej...

Chryste Panie, jak to bolało! Czemu się pan śmiejesz, kochany panie? To jest wielka tragedia. Rzadko w moim życiu cierpiałem tak silnie, jak wtedy... To oznaka pańskiej głupoty, że się pan śmiejesz. Czyż nie rozumiesz pan, że to jest życie? Śmieszność obok tragizmu, złoto w błocie, największa świętość wśród banalności — tak, widzisz pan, tego pan nie rozumiesz.

Hegel, ten stary filozof pruski był rozsądniejszym człowiekiem. Znasz pan wogóle Hegla? Więc, widzi pan, cała jego filozofia zamyka się w pytaniu, dlaczego natura do swych najwspanialszych celów używa tak nieestetycznych środków, jak np. organu płciowego, służącego do zapładniania i do wydzielania wymiany materii. Oczywiście jest to niezmiernie zabawne, śmiesznie zabawne, wstrętne zabawne, ale tak wyglądają zawsze rzeczy najświętsze ...

Falk wpadł w wściekłość.

Więc trzeba to wreszcie raz jasno do końca przemyśleć: Miłość, och tak miłość! Najpierw dziwnie zmięszane, zakłopotane spojrzenia, potem świecące się oczy Fauna, później drżenie rąk, jakgdyby ktoś na odległość kilkuset mil przesyłał depesze... Potem: zniżanie i podnoszenie głosu jak przy skandowaniu ód Horacego, to zachryple, to jękliwie... Później cały szereg bezwiednych ruchów: chwytanie bezmyślne przedmiotów i zataczanie się, nie zupełnie pewna pozycja na nogach, kaszel, chrząkania...

czyż to nie jest śmieszne? Czyż to nie jest śmieszne w najwyższym stopniu?

A naprzeciwko mnie siedzi panna Iza i zachęca mnie swym miłym uśmiechem, świadomym dobrego i złego, swym zagadkowym spojrzeniem...

No, na sztuczki aktorskich znamy się wybornie. Czyż nie dobrze gestykulowałem dzisiaj?

Właśnie dla tego, że jestem tak zwanym „zróżniczkowanym“ człowiekiem, zlewa się we mnie wszystko; zamiary, chęci, pragnienia, szczerłość, świadome i nieświadome rzeczy, kłamstwo i prawda; tysiące nieb, tysiące światów kołysze się we mnie, ale mimo wszystko jestem śmieszny.

Właśnie na to nie ma żadnej rady, bezwarunkowo żadnej. To jest „spiżowe“ prawo, najtrwalsze ze wszystkich, że człowiek, nim osiągnie swój zabawny cel, musi się pierwiej tysiąckrotnie ośmieszyć w oczach ukochanej kobiety...

Nagle przerwał ciąg myśli.

Więc miał poczucie wstydu... Tak, tak, wszystko jak u małego żaka. On także czuje się ośmieszony, jeżeli spadnie z konia w obecności swej ukochanej.

Ale Iza była przecież dla niego obcą, zupełnie obcą. Nic o niej nie wiedział. Nie wdarł się nawet na jedną linię w tajemnicę tego zamglonego uśmiechu, tej tak niezmiernie grzecznej i pobłażliwej istoty!

I w tej kobiecie obcej, o której nic nie wiedział, zakochał się.

Nagle. Od razu. W ciągu sekundy.

Hejże! Do nogi tysiące psychologów doświadczalnych! Pójdźcie tu wy, wy którzy wszystko wiecie, wy anatomowie duszy, wy analitycy „purs et secs“, pójdźcie tu i wyjaśnijcie mi...

Więc fakt: W przeciągu sekundy zakochałem się w kobiecie, zakochałem się pierwszy raz.

— Bo obudził się we mnie zmysłowy popęd? Mylicie się, ten nie spal nigdy.

Bo wmówiłem coś w siebie? Nic w siebie nie wmówiłem. Mój mózg nie brał w tem udziału. Nie miałem czasu zastanawiać się. Zresztą wstydzicie

się. Wy, autorowie fizjologii miłości, takiej bajecznej fizjologii, powinniście wiedzieć, że чуć nie zastanawia się. Чуć jest głupiem, głuchem zwierzęciem. Prostakiem i śmiesznym.

Zresztą jest mi to najzupełniej obojętne. Jeżeli ktoś kończy w czerwcu 25 rok życia, nie pyta więcej o przyczyny; pytanie „dlaczego“ nie istnieje już dla niego. Przyjmuje się wszystko, jako fakt dokonany. Tak się robi.

Rozejrzał się. Znajdował się na placu publicznym, którego nie znał. Bardzo piękny.

Usiadł na ławce, głowa ciężyła mu trochę, prawdopodobnie wypił za wiele, ale nie mógł się uspokoić.

Coś nurtowało w nim przez cały wieczór. Niewypowiedziane przykra myśl, którą ciągle tłumił w sobie, a która coraz energiczniej wydobywała się i teraz wydarła się całą siłą.

Mikita!

Falk powstał zaniepokojony, chodził chwilę w koło i znowu usiadł.

Widzisz Mikita, nie gniewaj się na mnie, ja bezwarunkowo nie jestem temu winien.

Czemu zawlokłeś mnie do niej? Chciałem pić wino i mówić z tobą. Nie chciałem iść do niej. Nie można włączyć przyjaciół do swoich narzeczonych.

To jest zasadniczym paragrafem kodeksu miłości.

Bezwarunkowo nie można, choćby te narzeczone były nawet tak wspaniałe jak twoja Iza.

Nie, Mikita, nie bądź tak strasznie smutny. Sprawia mi to zwierzęcy ból. Bo ja cię niezmiernie kocham.

Falk roztkliwił się.

Ja rzeczywiście nie jestem temu winien. No, pomyśl tylko. Wchodzę do pokoju. Cudowna czerwona fala światła. I to czerwone światło oblewa gorącym kręgiem żaru kobietę, kobietę, którą znałem lepiej niż ty nawet, chociaż nigdy przedtem jej nie widziałem.

Czy to była wina czerwonego światła? Jesteś do dyabła malarzem. Musisz wiedzieć, jak takie światło czerwone działa na Twoją duszę.

W tem przychodzi taki też-psycholog, pan Du Bois-Reymond i mówi. Barwa czerwona składa się z fał, które wykonują pięćset bilionów drgnień

na sekundę. Te drgnienia wywołują drgnienia w nerwach, a więc drgam, noto znaczy: ja drgam.

Rozumiesz teraz, dlaczego się zakochałem? Bo drgam!

A więc! Jasne jak słońce: Drgam, ergo się kocham. Falk wstał i szedł bezmyślnie przed siebie. Na ulicach było pusto. Tylko tu i owdzie słyszał natrętny ochryply głos kobiecy:

— Cóż, kotku, pójdziemy?

Nie, nie miał najmniejszej ochoty. Co miał robić u kokoty. Nie był berlińskim powieściopisarzem, nie potrzebował dyskretnych spódniczkowych nastroi, aby napisać romans. Nie! nienawidził wszystkich kobiet, wszystkich, a najbardziej jej, jej, która podstępnie wkradła się mu w duszę i wzbudziła ten przeklęty niepokój.

Nie, Mikita, nie powinienes się na mnie gniewać. Nie... nie... Nie wyobrażasz sobie, jak ja cierpię. Coś dusi mnie w gardle; przez cały dzień... Nic nie jadłem, tylko piłem i piłem...

Czy wiesz, co mi się śniło? Że spadam z wysokiej góry. Siedziałem na lodowcu, który leciał z szaloną szybkością; czyż mogłem się opierać? Czyż mogłem się bronić? Lodowiec unosił mnie, lodowiec był szeroki, pędził i pędził wściekły, rozhlukany...

Czyż mogę atomy moich nerwów ułożyć w innym szeregu i porządku? Czyż mogę zatamować prąd w moim mózgu? He? Czy mogę to zrobić? A ty możesz?

Lodowiec unosi mnie, ciska, rzuca — lecę, spadam, aż wreszcie wyrzuci mnie w morze.

To jest „spizowe“ prawo!

Falk krzyczał prawie.

No tak; jestem trochę pijany a wtedy panowanie nad sobą jest dosyć trudne.

Nie, Mikita, nie. Jesteś mi niezmiernie drogi. Nic, nic ci nie zawiniłem.

Nagle wpadł w wściekłość.

Czyż me drażniłeś jej, kochany Falku, czyż nie podniecałeś jej ciekawości tysiącznemi sztuczkami?

Wspaniałe to nagłe poczucie winy! Tak, biorę moje sumienie, obciążone grzechem i wysypuję jego zawartość przed wszechpotężnym, który nie

stworzył mnie, jak owe bezrozumne czworonogie, lecz jako dwunożne indywiduum, obdarzone duszą i rozsądkiem, aby rozróżniało zło i dobro i za pomocą tej „*quinta essentia*“, mianowicie wolnej woli kierowało swymi czynami.

Tak, kochany Mikita; *mea maxima culpa*! Zgrzeszyłem przeciwko tobie!

Po drodze ujrzał otwartą kawiarnię nocną.

Oh, jakże był znużony.

Wszedł i usiadł w kącie na sofie.

Wokoło słyszał krzyk i wrzawę, kłątwy i targi. Obejrzał się, czy jaki berliński powieściopisarz nie zbiera notatek. Jaki kolega z tego samego wydziału... he, he, he...

Wstrętne! Ile kosztuje funt mięsa na pięć minut?

Oparł się i patrzył w wielkie białe światło lampy elektrycznej.

Migotało mu w oczach. Widział, jak w koło białych okrągłych lamp drgała gorąca luna.

I widział świetlane mgły krążące szybciej i szybciej, gwałtowniej i goręcej.

I czuł ją w swoich ramionach, jej rozpaloną twarz przy swojej, czuł jej ruchy zbiegające niewysłowioną rozkoszą jego nerwy i widział świat, jak czerwony pierścień słoneczny, tańczący w koło.

To był wielki problem.

Wyprostował się.

Problem jego miłości! Iza zrodziła się z niego, albo on z niej. Była najdoskonalszym dopełnieniem jego. Jej ruchy były do tego stopnia ruchami jego duszy, że go wprawiały w stan najwyższej ekstazy, dźwięk jej głosu wyzwalał coś w jego duszy, coś, w czym się kryła tajemnica jego bytu.

Głupi mózgu, skąd wiesz to z taką pewnością?

Rozśmiał się szyderczo.

Ale nagle zastanowił się. Ujrzał siebie i ją w dziwacznym obrazie.

Siedzieli obojętni naprzeciw siebie. Patrzyli sobie oziębłe w oczy, wszak byli sobie zupełnie obojętni i obcy.

Tak, w jego oczy wpadały równolegle promienie światła, coś w kształcie promieni Röntgena; przeglądał na wskrós ją i siebie i widział, jak coś

wynurzało się z ich głębi, jak oba podziemne Ja zbliżały i patrzyły na siebie pytająco, pożądliwie.

Lecz nie! Siedzieli przecież przy stole, byli sobie obojętni i mówili o głupich, nic nieznaczących rzeczach. Ale te inne Ja były nieskończenie blisko, obejmowały się, zlewały się z sobą.

To inne Ja, kochany Mikito, to, którego nie znam, to które nagle się przejawia bez przyczyn i powodów, znało ją tysiąc lat dawniej, niż ją poznałem.

Widzisz Mikita, mój głupi mózg może najwyżej poznać, że się coś dzieje, najwyżej skonstatować fakt dokonany.

Tak, drogi Mikito, to jest faktem dokonanym. Ja ją Kocham!

A że starałem się być zajmującym? Że wabiłem ją, zwracałem jej uwagę na moje głębie? — Ależ na Boga, Mikito, bądźże rozsądnym! Wielkie „agens“ tak nakręciło sprężyny, że kółka i tryby koniecznie muszą się poruszać w tę, a nie w inną stronę.

Że też ty tego nie rozumiesz!

— Dlaczego Mikita nie przyszedł?

Och, łaskawa pani, pani źle zna Mikitę, Mikita ma instynkty obdarzone rękami, sięgającymi na odległość tysięcy mil, rękami, które chwytają to, co jest niepochwytne: Mikita widzi, jak dźwięk przemienia się w barwę. On malował akordy, które doprowadziłyby panią do szaleństwa, gdybyś je słyszała, ale brutalne oko znosi oczywiście wszystko. Mikita widzi, jak trawa rośnie, jak niebiosy krzyczą. To wszystko widzi Mikita — Mikita jest geniusz!

A ja czym jestem? Co ja zrobiłem?

Głupstwo, Falk. Czy jesteś naprawdę pijany?

Lecz nie: Jestem psychologiem i chwilowo zajmuję się gorliwie spreparowaniem duszy Mikity na czysto.

Ho, Mikita udaje, że nic nie widzi, pozwala trucieżnie weźreć się w jego najgłębsze tajniki, aż wszystko zostanie strawione i rozłożone, aż całkiem zniszczyje.

No i cóż z tego? Niepotrzebną przeszkodę wrzuci się w morze. Okręt swobodnie popłynie dalej — Mikita nie pierwszy i nie — ostatni!

Wrzawa i śmiechy wokół Falka rozlegały się coraz głośniejsze.

Podniósł się wściekły i ryknął: Cicho!

Potem usiadł. Te przekłete muchy, które mu myśli przerywały.

Zaniepokoił się bardzo.

Musiał zobaczyć Mikitę. Musiał koniecznie zobaczyć, co teraz robi. Tak, pójdzie do niego:

— Kto tam? Pracuję teraz. — To ja, Eryk Falk. — Otwiera. Patrzy na mnie z ukosa, a ma oczywiście strasznie dzikie oczy.

— Czego chcesz?

— Czego chcę? Oto chcę ci wytłómaczyć, że nie ja kocham, lecz moje inne ja, którego nie znam, a które mnie zniecka osaczyło. Chcę ci wyjaśnić, jak się to stało. Siedziałem z nią przy stole — obojętny, zimny, ale podczas gdy mówiłem o głupich obojętnych rzeczach, to właśnie to inne ja pracowało na własną rękę, wabiło ją i nęciło, aż się poddała. Nie! nie ona, ona szydzi i śmieje się ze mnie, bo to moje głupie, świadome ja żądało serdeczniejszego pożegnania. Widzisz ona jest dla mnie obca, najzupełniej obca. Ale te inne ja w nas obojgu, te znają się dobrze, kochają się niezmiernie, potężnie, nierozzerwalnie.

Dziękuję ci wszechmocny stwórco, że stworzyłeś mnie dwunożną istotą, którą obdarzyłeś rozumem i duszą, aby rozróżniała zło i dobro, aby nie pożądała Izy, skoro Mikita miał szczęście, poznać ją pierwej.

A tam — tam siedzi to młode bydlę obok sto kilo żywego ścierwu, he, he głupi kupczyk — on nie ma rozumu, nie rozróżnia między złem i dobrem.

Widzisz, głupi smarkaczu, czym ty jesteś wobec mnie? Takie coś bez rozumu i woli.

Falk rozśmiał się na całe gardło.

Ale musiał z powodu nieprzyzwoitego zachowania się — wyrażenie podobało mu się nadzwyczaj — opuścić ubikację.

W sam czas.

W tej zatrutej, potem i mięsem cuchnącej jaskini nie mógłby już dłużej wytrzymać człowiek z rodzaju *homo sapiens*.

Na dworze świtało.

Ponad czarnymi dachami widział głęboki błękit nieba w nieopisanym, cichym, świętym majestacie.

Majestat nieba nad Berlinem — rozśmiał się szyderczo — ale taką jest ta głupia przyroda, roztacza swoją potęgę nad oceanem i kupą błota.

---



## X.

— Dlaczego nie przyszedłeś wczoraj do Iltisa — pytała Iza niepewnym głosem.

— Po co miałem przychodzić? Byłem pewien, że i bezemnie będziesz się dobrze bawić.

— To bardzo brzydko; wiesz przecież, że jestem szczęśliwa, kiedy jestem razem z tobą.

— Rzeczywiście?

Mikita spojrzał na nią niedowierzająco.

— Jak to rozumiesz?

Była oburzona. Ale nagle zobaczyła drganie na jego bladej znużonej twarzy. Znała to.

— Wstydź się! jakiś ty brzydki. Wzięła jego rękę i głaskała ją.

Mikita usunął z wolna rękę. Zaczął chodzić wokół atelier.

— Co ci jest?

— Mnie? nic, nic, nic..

Spojrzała na niego. Nerwowy niepokój drgał coraz gwałtowniej w jego twarzy. Coś wrzało w nim i lada chwila mogło wybuchnąć.

— No chodźże do mnie...

Stanął przed nią.

— Czego chcesz?

— Siądź tutaj przy mnie, tu, obok.

Usiadł. Ujęła jego rękę.

— Co ci, Mikito? Co?

— Nic!

— Czy ci wyrządziłam jakąś przykrość?

— Nie.

— Widzisz, Mikita, nie jesteś szczery. Nie chcesz mi powiedzieć, ale ja znam cię za dobrze: jesteś zazdrosny o Falka...

Mikita chciał jej przerwać.

— Nie, nie; ja znam cię za dobrze: Jesteś zazdrosny, a to strasznie głupie. Falk jest bardzo ciekawy, jest może obok ciebie najbardziej ciekawy człowiek, jakiego znam, ale nie potrafiłabym go kochać — nigdy. Skoro nie przyszedłeś wczoraj, wiedziałam dobrze, że siedzisz w domu i szalejesz ze zazdrości. Przez cały wieczór pytałam się nieustannie, jaki masz właściwie powód? Czy ja dałam ci powód do zazdrości?

Mikita czuł się zawstydzony.

— Nie powinieneś być zazdrosny. To mnie męczy. To mnie tak nuży. W końcu nie będę śmiała słowa zamienić z ludźmi, w obawie, że rozgniewam ciebie. Nie mogę tego po prostu znieść. Nie masz żadnego powodu. Niszczysz całą naszą miłość.

Mikita był bardzo pogiębiony i całował jej rękę.

— Upokarzasz mnie tem wiecznem niedowierzaniem. Musisz przecież zrozumieć, że i ja jestem człowiekiem. Nie można mnie tak ustawicznie dręczyć. Byłeś dumny z mojej samodzielności, a teraz chcesz ją zniszczyć, zrobić mnie niewolnicą. W końcu będziesz mnie chciał całkiem od świata odciąć...

Mikita był zrozpaczony.

— Izo, nie, nie! Nie jestem zazdrosny. Ale ty nie wiesz, jakie znaczenie ma dla mnie twoja miłość. Ja nie mogę żyć bez ciebie. Tkwę wszystkimi korzeniami w tobie... ty jesteś...

Zrobił szeroki zabawny ruch ręką.

— Ty nie rozumiesz tego, ty nie masz tego szalonego temperamentu — tego... tego... no, ty nie umiesz odczuć jak to pali i męczy, jak błyskawicą w oczy wpadnie, i zaślepia je na cały świat...

Głaskała go ciągle po rękach.

— Nie, ty nie wiesz, czym jesteś dla mnie. Ja nie jestem zazdrosny. Czuję tylko szaloną trwogę, że mógłbym cię stracić. Nie umiem sobie wytlómaczyć, dlaczego mnie kochasz — ja...

Słuchaj, słuchaj — wyprostował się. Przypatrzył się tylko małemu zabawnemu Mikicie, jesteś przecie wyższa odemnie...

— Daj spokój; kocham cię; jesteś wielkim artystą, największym ze wszystkich...

— Więc widzisz, kochasz we mnie tylko, tylko artystę, człowieka nie znasz zupełnie. Jako człowiek jestem dla ciebie niczem, niczem...

— Ależ człowiek i artysta jest w tobie jedno! Czem byłbyś bez twojej sztuki?

— Tak, tak, masz słuszość. Nie, Iza, ja jestem szalony. Nie gniewaj się o to na mnie, na miłość Boga nie. Będę teraz rozsądny. Ale cóż ja jestem temu winien. Musisz to zrozumieć. Ja — ja żyję w tobie... gdybym cię utracił, wtedy... wtedy — nic mi nie zostanie — nic...

Łzy spływały mu grochem po policzkach.

Przytuliła go do siebie.

— Mój drogi, głupi Mikito. Kocham cię przecież...

— Nie prawda? Ty mnie kochasz? Nie prawda? Ty... Ty...

Drżącymi rękoma gładził ją po twarzy, tulił ją do siebie, przyciskał namiętnie do piersi.

— Nie porzucisz mnie nigdy?

— Nie, nie.

— Kochasz mnie?

— Tak.

— Powtórz, powtórz jeszcze raz, tysiąc razy.. ty moja jedyna... Ty — ty nie pojmujesz, jak się męczyłem wczoraj; myślałem, że zmysły stracę. Chciałem biedz do ciebie i nie mogłem... Nie mogłem ni siedzieć, ni stać... Ty, Izo, nie porzucisz mnie nigdy? Nie, nie! Wtedy musiałbym zginąć... Wtedy — wtedy...

Wątle, wynędzniałe ciało malarza drżało coraz gwałtowniej.

— Widzisz będę malował — Ty nie wiesz co ja umiem... przekonasz się, co umiem. Będę malował ciebie, tylko ciebie, zawsze ciebie... Zmuszę świat cały, aby się korzył przed Tobą.. Wszystko, wszystko umiem wymalować — Myśli, akordy, słowa... i ciebie, tak ciebie... Będziesz dumna ze mnie, dumna...

Ukląkł przed nią, słowa jego plątały się bezładnie, bełkotał i obejmował ją za kolana.

Ty moja — ty...

Zaniepokoiła się. Sprawiało jej to przykrość Gdyby tylko go mogła uspokoić.

— Tak, tak... Ty jesteś moim wielkim Mikitą. I ja jestem twoją, twoją... ale nie powinieneś być taki niedobry...

— Nie, nie; wiem że mnie kochasz. Wiem, że jesteś moją... Przebac mi... już nigdy się to nie powtórzy... Przebaczasz mi?

— Tak, tak...

Przycisnął ją tak silnie do siebie, że ledwie mogła oddychać.

Niejasna trwoga rosła w niej i rosła. Czowała, co nadchodzi, dreszcz przebiegł jej ciało. Najchętniej uciekłyby teraz...

Wyrwała się.

On zdawał się niezważać na to. Dzika, długo tłumiona namiętność rwała się i buchała gwałtownie.

— Jestem taki szczęśliwy, tak niezmiernie szczęśliwy. Ty dałaś mi wszystko, wszystko... Bełkotał: zwierzęca, ślepa, wściekła żądza o władnęła nim.

— Bez ciebie jestem niczem, niczem. Wczoraj to czułem, ginę, zapadam się bez ciebie...

Wduszał ją w siebie coraz gwałtowniej.

— Ty... ty... Dyszał żarem.

Czowała jego gorący oddech, jak palił jej szyję. Cała jej dusza kurczyła się jak sucha gąbka. Trwoga rosła w niej, obezwładniała ją, mieszała jej zmysły... O Boże, cóż miała robić? Widziała Falka przed sobą. Coś burzyło się w niej, opierało się dzikiem, rozpaczliwym oburzeniem.

— Bądź moją! żebrał... Pokaż, że mnie kochasz... Widziała oczy Mikity, oczy szaleńca, które nic nie widzą.

O Boże, Boże... Jeszcze raz zerwała się. Chciała go odepchnąć i uciec, nie widzieć go już nigdy... nie poddawać się już nigdy tej ochydzie, ale w tej samej chwili straciła siły. Ogarnął ją chorobliwy smutek. Nie mogła się opierać... musiała...

— Kocham cię... umieram z tęsknoty za tobą... bełkotał jak dziecko.

A obrzydzenie potęgowało się w niej, wrastało w krtań, dusiło ją, ubezwładniało. Zimne dreszcze wstrętu przebiegały jej ciało — ale nie mogła się bronić, nie miała już siły. Słyszała tylko głos Falka, widziała jego oczy... nie, nie miała już siły... Zamknęła oczy i z straszną, bolesną rozpaczą poddała się tej ochydnej żądzy.

— Uszczęśliwiłaś mnie.

Szczęście wykrzywiło śmiesznym grymasem nerwową, chudą twarz Mikity.

Ale ona czuła wstręt, wściekłe uczucie wstrętu, które wżerało się w każdy nerw z rosnącym oburzeniem, z nienawiścią, jakiej dotąd nie znała. Na jej ustach igrał bezwiednie przyjazny uśmiech, ów uśmiech, świadomy dobrego i złego.

I znowu głaskała jego rękę.

Walczyła z sobą. W oczach ciemniało jej ze wstydu i oburzenia. Z trudem powstrzymywała słowo, które chciałaby mu cisnąć w twarz za to, że ją zgwałcił tak brutalnie. A myśl o Falku wżerała się coraz głębiej w jej duszę. Rozszalała boleść rozpieierała jej głowę...

— O Izo, jestem szczęśliwy, niezmiernie szczęśliwy, dzisiaj...

Zapanowała nad sobą i uśmiechnęła się. Ala ustawicznie czuła wstręt i obrzydzenie.. Wszystko było jej wstrętne, jego słowa, jego ręka, jego gorący oddech...

Ale Mikita myślał tylko o swoim szczęściu. Ta kobieta należała do niego. Głowa gorzała mu radością i siłą.

Nie chciała już myśleć, ale myśli o Falku nie zdołała już powstrzymać. Myśl ta zadawała jej ból, kąsała ją, bluzgała w jej serce wstyd i nienawiść. Odetchnęła ciężko. Żeby tylko nie przyszedł. O Boże, żeby tylko nie przyszedł...

— Czy Falk przyjdzie dziś do ciebie?

Mikita spojrział na nią zdziwiony.

— Kto? Falk?

Oprzytomniała.

— Chciałabym bardzo, żeby zobaczył twoje obrazy. Nie widział ich, a przecież on jedyny może je zrozumieć.

Mikita odetchnął lżej.

— Słuchaj Iza, napiszę do niego, żeby zaraz przyszedł.

Zerwała się na równe nogi.

— Nie, nie, nie dzisiaj.

— Dlaczegoż nie?

— Chcę być dzisiaj sam na sam z tobą.

Ucałował serdecznie jej rękę i spojrzał na nią z wdzięcznością.

Jakaś psia pokora leżała w tem wszystkim. Przypomniła sobie wielkiego psa w domu swego ojca, psa, który ją tak samo kochał i od którego nigdy nie mogła się uwolnić.

Tymczasem zciemniło się.

Jakież miał prawo, gwałcić ją tak brutalnie... tak... nie... nie myśleć, nie myśleć!.. A jednak czuła się skalaną, on ją skalał!

Poczuła nagle na swoim ramieniu jego rękę.

Przestraszyła się. Jego dotknięcie było jej wstrętne.

— Zapal lampę!

Mikita wstał i zapalił lampę.

Potem wgrzył się w nią przerażonym wzrokiem.

Nie miała już siły panować nad sobą. Wszystko waliło się na nią: Falk, Mikita, obrzydzenie... to straszliwe obrzydzenie... wstręt...

Nagle zbudził się w nim gwałtowny strach, przerażenie, które na chwilę ubezwładniło mu mózg.

Widziała, jak twarz jego drgać zaczęła, jak oczy rozszerzyły się nadmiernie.

— Co się z tobą dzieje? — spytał zachrypłym głosem.

— Nic, nic! Próbowала się uśmiechnąć, ale nie potrafiła.

— Co... co... co się z tobą dzieje? Zaczynał rozumieć.

— W tej chwili ktoś gwałtownie zadzwonił.

Drgnął, nie mógł zrozumieć, skąd pochodził ten dźwięk.

— Słyszysz, ktoś dzwoni. Nie otwieraj, nie otwieraj, błagała przerażona.

Ale on już wybiegł. Opadła ze sił. To on, to on, Falk — wiedziała o tem. On! Boże...

— O, no, to już wprost wspaniale, to poprostu wzniosłe, właśnie chcieliśmy pisać po ciebie... Mikita ledwie mógł zapanować nad sobą. No, Izo, Falk przyszedł wreszcie. Starał się rozpaczliwie opanować się.

Cieszę się, chciej mi wierzyć, że się cieszę. Wiesz, Eryk... to bardzo pięknie... Urządzimy sobie wspaniałą wieczór... Czego sobie życzysz? Wina, wódki, piwa... He? Wszystko będziesz miał...

Chcesz widzieć moje obrazy? Boże — głupie obrazy. — Cóż w nich znajdziesz? Idź w życie — tak — idź na ulicę, tam są obrazy! POCO te głupie smarowanie, ta nędzna pacanina... O Boże, po co to wszystko!... Nie mówiłeś mi wczoraj, że nie można tem zwabić nawet głupiej samicy?... Tak, tak, idź na ulicę, nie! idź do kawiarni nocnej, tam są obrazy! wspaniałe! wiesz... takiego obrazu, jaki widziałem wczoraj, nie namaluje żaden człowiek... Wiesz, co widziałem?... Byłem w restauracyi, tak, w restauracyi, nie w kawiarni... i siedziałem tam długie godziny. Naprzeciw mnie siedział jakiś pan z dwiema damami. Jedna była jego kochanką, a z drugą wykonywał telegraficzne ćwiczenia nogami pod stołem. Jadł kiełbaski, rozumiesz, Jauerowskie, jak mi się zdaje... W tem: to była chwila!.. Ha, ha! Ta chwila, ta cudowna chwila!... Mikita śmiał się ochryple, zaledwie można było zrozumieć jego słowa.

Chwila! jaką się rzadko spotyka.

Otóż słuchaj: ta legalna kochanka... Mikita przerywał sobie ustawicznie nerwowym, niemiłym śmiechem... chwytła talerz z kiełbaskami i rzuca zalotnikowi w twarz... To był widok, wart stu moich obrazów... Sos spływał z niego... wiesz, taka ciemno czekoladowa ropa, jaką polewają tu w Berlinie wszystkie potrawy... Kiełbaski rozleciały się w koło... Ten drab wyglądał... Mikita trząsł się od śmiechu... to był obraz! Ach jak on wyglądał! Falk nie mógł zrozumieć, co się działo z Mikitą. Spojrzał na Izę, ale ona leżała na sofie, wpatrując się nieruchomie w sufit.

Prawdopodobnie znowu gwałtowna scena zazdrości.

— I wiesz, co ten drab zrobił? Mikita szarpał nerwowo guziki na ubraniu Falka. Nic! Nic! Najspokojniej obcierał sobie sos z twarzy... Tak to zrobił... A dama, z którą przedtem ćwiczył się w dawaniu znaków telegraficznych, zanosila się od śmiechu... Jej erotyczne uczucia przepadły, jakby je wiatr zwiął... I wiesz dlaczego? — Wiesz? — krzyczał Mikita.

Bo się ośmieszył, ośmieszył! A kiedy się człowiek ośmieszy w oczach kobiety, wtedy wszystko przepadło...

Falkowi wszystko to wydawało się niemiłym. Myślał o wczorajszym rozstaniu.

— Czy ty rozumiesz, co to znaczy ośmieszyć się w oczach kobiety?... Ale, ale... Mikita zajęknął się... nie zawsze, nie zawsze... Są jeszcze kobiety,

przed którymi się człowiek nie ośmiesza, kobiety, które kochają! kochają!... Uspokoił się... Widzisz, te kobiety zapominają o sobie i o wszystkim; nie widzą, że człowiek jest śmieszny — nie myślą, nie zważają... Znowu się uniósł...

Hej, Iza? Czy nie mam słuszności? Jesteś przecież kobietą!

Iza starała się zmienić temat rozmowy; sprawiało jej to niezmierną przykrość. Jaki on był przykry i wstrętny... Rozśmiała się.

— Tak, masz zapewne słuszność... ta historia o kiełbaskach jest bardzo zabawna. I cóż się dalej stało?

Mikita zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

— Tak, dalej — prawda. Więc ośmieszony pan był zupełnie spokojny, chociaż wszyscy goście przy stolikach pokładali się od śmiechu... Jego piękny, wysoki kołnierzyk zmienił się w gałganek do prania, a twarde gors koszuli możnaby było na zapałce owinąć...

Zbrodniarka, wiesz — kobieta, przed którą nie można się ośmieszyć — zbladła i widziałem, że drżała. Wyglądała zupełnie jak pies. Tak Goya widział ludzi — wspaniały Goya, jedyny psycholog na świecie. Widział tylko zwierzę w człowieku, a wszyscy są zwierzętami: psami i osłami.

Ale dziewczyna miała temperament, miała miłość, bezgraniczną miłość w sercu, kochała go, tak, kochała go...

Jakto? Nie zajmuje cię to? Nie? nie zajmuje cię uczucie zazdrości, które doprowadza do zbrodni? Jedna rzuca w twarz kiełbaski, inna oblewa witrylojem. Ale zawsze to samo uczucie! Silne, potężne — to jest życie i miłość! U jednej przejawia się tak, u drugiej trochę inaczej... Moja matka miała służącą, która w dzień i w noc czytała romanse... Czy nie zdaje ci się, że w tej dziewczynie straciła ludzkość nową, potężną Rodziewiczównę? Nie prawda? nie prawda?

Falk zaniepokoił się. Cóż się działo z Mikitą?

— Widzisz robaczku, nie potrzeba patrzeć na obrazy...

Tak, prawda, pointa... Facet wyszedł z damami spokojnie i uroczyście z restauracji. Ale nagle na ulicy... no, to powinienbyś był widzieć... to daje sensacją... bo oto nagle dziewczyna zwała się w rynsztok, otrzymawszy potężny policzek... Ale podniosła się, czołgała się ku niemu na kolanach i



błagała przebaczenia. On odtrącił ją, ale ciągle biegła za nim, jęcząc i żebrząc.

Mikita wpadał w coraz większe podniecenie.

— Czy wiesz, co wtedy zrobiłem?

Podszedłem ku niemu, ukloniłem się aż do ziemi i powiedziałem: Pozwoli pan, łaskawy panie, że wyrażę mu mój najwyższy podziw.

— Tak widzisz — Mikita wpadał w wzburzenie, sięgające zatrwających granic...

— Na miłość Boga co ci brakuje, jesteś przecie chory... co ci się stało?

Mikita przerwał mu gwałtownie.

— Ja? chory?... czyś ty oszalał? No widzisz, ale ten człowiek dobrze postąpił. Nie prawda? kobietę trzeba ujarzmić, pięścią, biczem... wywalczyć, wywalczyć trzeba miłość...

Zająknął się i umilkł nagle.

Nastąpiła przykra cisza.

Falk zaniepokoił się. Oczy jego biegły niespokojnie z Mikity na Izę. Ale ostatecznie sprawiała mu ta scena zadowolenie.

Iza usiadła nagle i rzekła powoli:

— Mógłbyś w tym miejscu bardzo dobrze wygłosić zdanie Nietzschego: „Nie zapominaj bicza, kiedy idziesz do kobiety“. Inaczej brzmią twoje słowa niemal jako plagiat.

Coś nadzwyczajnie odpychającego brzmiało w jej głosie.

Falk spojrział na nią ze zdumieniem. Czy to było zerwanie? — z Mikitą?... Ta nienawiść...

Mikita zerwał się ze stołka i rozśmiał się nagle.

— Do licha, Nietzsche powiedział to wspaniale, bajecznie dobrze... Ale co się wam stało? Tak uroczyście wyglądacie... Bo też do diabła zupełnie ogłupiałem.

Stał się naraz bardzo uprzejmy.

— Nie bierz mi za złe, że jestem tak wzburzony, ale rzeczywiście zaczynam przypuszczać, że mam deliryum — całą noc piłem z tym drabem... To mi bynajmniej nie służy... Mój stryj umarł na deliryum, najpiękniejszą odmianę, jaka w ogóle może wykwitnąć w ludzkim mózgu.

Deliryum jego było bujne jak palma, jak wielka palma, pod którą nie można chodzić bezkarnie, jak to mówią nasi bohaterowie ducha.

Chodził po pokoju i poprawiał obrazy.

Boże, cóż to są obrazy? Człowiek, który sam sobie wystarcza, powinienby właśnie zadowolnić się tem i nie mazać i nie pacać.

Więc obrazy chcesz obejrzeć?.. no, to musisz przyjść jutro, kiedy będzie światło... Tak światło muszą mieć, w każdym oku miliony mil kwadratowych światła, aby zobaczyć to, czego jeszcze żaden człowiek nie widział. Tak, żaden człowiek... czego ja nie widziałem... ale muszę jeszcze zobaczyć, muszę!

Falk nie widział nigdy Mikity w takim stanie. To nie było normalne...

— Ale co tobie? Czemu grasz ze mną tę komedję?

— Co mi jest? co mi jest? Szczęśliwy jestem! Szczęśliwy jak nigdy jeszcze!

— No, więc nie potrzebujesz tego tak na wszystkie strony wykrzykiwać.

— Do diabła muszę krzyczeć, bo czasem masz takie drgania koło ust, taki ironiczny odcień, jakbyś nie wierzył w moje szczęście... Cóż, Iza? Czy nie jesteśmy szczęśliwi?!

Ale Iza nie mogła już znieść dłużej. Teraz przewłóczy w błocie cały ich stosunek... Nie, tego było już zawiele...

Podniosła się, ubrała i nie mówiąc ani słowa wyszła z pracowni.

Mikita patrzył za nią bezmyślnie.

Był jak zdruzgotany. Potem zwrócił się do Falka.

— Idź i Ty! Idź, idź: Jestem zanadto wzburzony, muszę pozostać sam...

Idź, idź! krzyczał na niego.

Falk wzruszył prawie pogardliwie ramionami i wyszedł. Na dole spotkał Izę. Czekala na niego.

Kiedy Mikita został sam, zamknął drzwi, stanął w środku pracowni i nagle całą siłą uderzył głową o ścianę.

Ból go otrzeźwił.

Więc rzeczywiście oszalał.

Zatoczył się na sofę. Głowa go strasznie bolała.

Nagle zaciemniało mu przed oczyma, zawróciło mu się w głowie.

To było szkaradne. Zgwałcił bezbronną kobietę, posiadał ją wbrew jej woli. Oddała mu się, bo się musiała oddać, z obowiązku, bo... bo ...

I krzyknął ze wszystkich sił:

— Ochyda!

Niepokój szarpał, rwał, przerastał go. Czuł drganie każdej żyłki; potęgująca się wściekłość pieniała się w jego duszy; zdawało mu się, że się rozpada, że wszystko wyrywa się ze stawów; ogarnęła go straszliwa trwoga.

Źle się ze mną dzieje, źle się ze mną dzieje, powtarzał bez przerwy.

Chwytał się za piersi obiema rękami.

Zgwałcił bezbronną kobietę, kobietę, która brzydziła się nim! Dlaczego się oddała? Bo ją o to prosił? Bo — bo... Boże! Oddała mu się z grzeczności, Bóg wie dla czego...

I naraz błysła mu piorunem dzika myśl przez głowę. Teraz odda się Falkowi, bo ją będzie o to prosił, odda się, bo nie będzie chciała zrobić mu przykrości, bo... bo...

Rżał wściekłym śmiechem, tarzał się po sofie i wybuchnął wreszcie konwulsyjnym płaczem.

Słyszał swój płacz.

I znowu budził się w jego mózgu rozszałały niepokój; zerwał się; musiał ją odzyskać, aby mu jej Falk nie odebrał.

Odruchowo wdział czapkę, rozwarł drzwi, wypadł na schody, biegł przez ulice aż pod jej dom, a potem po schodach w górę: drżący, blady, z pianą na ustach.

— Czy panna Iza w domu?

— Nie!

Zatrzymał się przed domem. Wszystko w nim zarywało się.

Chciał iść, ale nogi nie chciały go nieść.

Z pewnością nie zdoła zrobić ani kroku.

Zatrzymał się, ale nie mógł myśli zebrać. Naraz wyczytał na przeciwnej stronie ulicy: Restaurant-Café...

Aha! Kawiarnia... Tak, pójdzie do kawiarni — tam usiądzie, tam, tam — cicho — spokojniutko... Usiądzie na sofie, napije się kawy.. przeczyta gazety...

---

## XI.

Iza i Falk siedzieli w tej samej restauracji, co zeszłego wieczora. Z tą różnicą, że byli teraz sami w separacie.

Nigdy jeszcze nie czuła Iza tak wielkiej rozkoszy, być sam na sam z mężczyzną.

Leżała wyciągnięta na sofie, paliła papierosa, leniwie, bezmyślnie puszczała w powietrze dym.

Zapomniała zupełnie o Mikicie. A jeżeli stawał jej przed oczyma, to tylko jako złośliwa, trzepocąca się, chochlikowata postać, coś w kształcie potwora i pędraka.

Jak on umiał być złośliwy. Te ukryte przytyki w tej głupiej anegdocie o kielbaskach.

Falk patrzył na nią uważnie.

Chwilami dziwił się, że twarz jej oblewała się purpurowym rumieńcem i drgała nerwowo.

A za każdym razem widział, jak podnosiła się nagle i wypróżniała kieliszek.

Jak on ją kochał. Jak pragnął przytulić do siebie to smukłe ciało, głaskać miękkie, jasne włosy i ukryć, utulić jej głowę na swojej piersi.

Czemu nie miał odwagi, by to zrobić?

Czemu?

Czuł, wiedział, że go kocha; więc czemu nie?

Litość nad Mikitą? Czyż on nie cierpiał tak samo, a może i więcej...

Przypomniał sobie całą tę przykrą scenę u Mikity, której był świadkiem. Dziwna rzecz, że doznawał przy tem prawie radości. Co za djabeł siedział w nim, który się z tego cieszył? Przypomniał sobie, jak raz upoił narzeczonego pewnej dziewczyny i doznawał djabelskiej rozkoszy, kiedy dziewczyna była zrozpaczona, że jej kochanek, tak haniebnie się upił. Był

pewien, że od tego czasu poczęła narzeczonego nienawidzić. Cóż za szatan tkwił w nim?

Na ustach jego ślizgał się nerwowy, bolesny uśmiech.

Spojrzała na niego. Jaki on był piękny. Całem i godzinami mogłaby patrzeć na niego, patrzeć w jego wielkie, błyszczące oczy, utkwione w nią z gorączkowym blaskiem... a kiedy przechadzał się nerwowo wzdłuż pokoju: te zwinne, niebezpieczne ruchy smagłej pantery.

I znowu czuła, że rumieniec wstydu wytryskuje jej na twarz, że ciemna nienawiść budzi się w niej...

Mikita był prostakiem — brutalnym!

Piła chciwie.

Nie mówili nic.

On mówił już tak wiele, chciał teraz zagłębić się w swą duszę i rozkoszować się tem, co go otaczało, wchłaniać, wsysać to w każdą szczelinę nerwów.

Słuchała, syciła się cichym, monotonnym dźwiękiem jego głosu... Było coś w tym głosie co ubezwładniało jej wolę i hipnotyzowało ją.

Przypomniała sobie, jak słyszała raz w operze Tristana i Izoldę. Doznawała wtedy podobnego uczucia. Siedziała w łoży, zapomniała, gdzie się znajduje... oh ten rozkoszny stan sennego słyszenia, sennej jakiejś, a lubieżnej muzyki... słyszała, jak ta muzyka wlewa się roz tęskniona — rozanielona w jej duszę... ach...

Upadła na sofę i zamknęła oczy.

Było jej tak nieskończenie dobrze... z nim — z nim razem... Falk powstał, przeszedł kilka razy po pokoju, potem usiadł obok niej.

Ujął jej rękę, patrzył jej w oczy. Było, jakby się wokół rozlał czarowny blask fosforu. Widział ten blask, drgający, rozżarzony, nęcący, wołający blask... Widział go już wtedy, w pierwszy wieczór.

Cichy uśmiech splótł się rozkosznym smutkiem w ich duszy.

— Teraz będę mówił dalej.

— Ale nie zapomnij pan...

— O czym?

— O warunku...

— Zapomniałem o warunku.

— Nie powinieneś pan zapominać.

— Nie, nie! Całował jej rękę.

Jak ona go nęciła, jak ciągnęła ku sobie temi oczami. Czy robiła to świadomie?

— Skąd pani tu przychodzi?

— Czyż nie ważniejsze, dokąd idę?

Uśmiechnęła się.

— Tak, tak... Zawstydzasz mnie pani, masz pani słuszość... A ręka pani jest tak piękna, tak piękna; nie widziałem nigdy równie pięknej ręki...

Spojrzała na niego.

Nagle przestał panować nad sobą. Ukląkł przy niej i całował namiętnie jej rękę. Wpił się ustami w tę rękę.

Usunęła ostrożnie swoją miękką, wąską, długą rękę.

— Nie czyń pan tego! To tak boli...

Mówiła cichym, przerywanym, zamglonym głosem.

Falk usiadł znowu. Tarł sobie czoło, pił, drżał z wzruszenia i milczał.

Długa przerwa.

Potem zaczął mówić; spokojnie, cicho z smutnym uśmiechem.

— Dwa, trzy dni minęło, odkąd panią poznałem... Tak, nie pojmuję tego, zresztą nie ma co pojmować; to fakt, żelazny, dokonany fakt... Bądź pani łaskawą, pozwól mi wszystko powiedzieć, to mnie uspokoi... ja muszę o tem mówić... Może pani nie rozumiesz tego, ale ja kocham pierwszy raz w mojem życiu.

Pił chciwie, bez pamięci.

— Tak, tego pani nie rozumie, ale to straszne, zakochać się w moim wieku. To przewraca całą duszę, wprowadza zamieszanie do mózgu... Pani stała się mojem przeznaczeniem, pani stała się moją zgubą...

Zapamiętał się.

— Ja wiem, tak, wiem, że nie powinienem pani tego mówić... zgryzł myśl o Mikicie — nie wiem także, dlaczego o tem mówię. To jest straszliwa tajemnica... jestem dzisiaj innym człowiekiem, niż trzy dni temu — nie rozumiem, co się ze mną stało... ale... mogę o tem mówić: wszak nie żądam nic od pani, mam panią w sobie... nosiłem panią w sobie przez całe życie, jako wielką bolesną tęsknotę i... Tak! powiedziałem to pani już sto

razy, ale — nagle wybuchnął — dręczę się tak strasznie, niszczeję, ogarnia mnie szalony niepokój... Nie, nie, — nie jestem szaleńcem, wiem, wiem dobrze, co czynię i mówię, wiem także, że mam siłę się oprzeć... Tak pójdę, mając panią w sobie, będę krwawił się tą wieczną tęsknotą—niech mi dusza się łamie i pokruszy..

Znowu klęknął przed nią. Zciemniało mu przed oczyma. Czuł dwa serca, trące się o siebie.

— Ale kochaj mnie, powiedz, powiedz, że mnie kochasz...

Objął ją i czuł, jak jej ciało poddaje się, lgnie, przylega, schwycił ją w swoje ręce, wgniatał w siebie z rozpasaną namiętnością.

— Moja, moja...

Uwolniła się przemocą z jego uścisku.

Nie wiedziała czemu się broni; czuła nagle straszną nienawiść ku Mikicie, który ją skalał, zbrukał...

Falk spojrzał na nią.

Oczy jej rozszerzyły się i napęłniły łzami. Odwróciła się, rozpaczliwym nerwowym ruchem ścisnęła poręcz sofy.

Opanował się.

— Tak, masz pani słuszość. Mówił głosem zmęczonym... Tak, to było niepięknie z mojej strony. Przebacz pani. Jesteś pani zanadto znużona, abyś mogła kochać.

Spojrzała na niego z cichym, smutnym wyrzutem.

— A pozatem... wybuchnął nagle — jaka niewypowiedziana rozkosz, siedzieć tak przy Tobie, bez pragnienia, bez żądz... Tak, bądźmy przyjaciółmi... chce Pani?

Falk sadził się na wesołość. Ale czuł się zmęczonym i chorym. Nie mógł ukryć swojego bólu. Czemuż miał go ukrywać? Czemuż? Ogarnęła go wściekłość i jakiś twardy, nieubłagany upór. Miał niemal chęć, huknąć pięścią w stół. A przecie nigdy tego nie robił.

Znowu powstał, obszedł stół dokoła i usiadł z przeciwnej strony obok Izy.

— Nie, to byłoby śmieszne, gdybym chciał grać z panią komedycę. Nie chcę tego robić. Ale muszę to pani powiedzieć. Muszę... Mogłabyś pani być mojem największem szczęściem tak pani... nie ty! ty! Pozwól się tak



nazywać. Wszak nie mam nikogo na świecie. Już to jest dla mnie niewypowiedzianem szczęściem, że czuję cię moją przez to małe słowo „Ty“, to jest dla mnie szczęściem krzyknąć to „Ty“ z całej piersi, to „Ty“... „Ty“...

Naraz porwał go znowu wir namiętności. Nie widział już nic. Ukrył głowę, wtulił ją w jej łono. Ujęła rękoma jego głowę i całowała... Trwożnie, potem gwałtownie, w krótkich odstępach, coraz silniej, coraz namiętniej. Drżał, dreszcze rozkoszy spływały ognistymi błyskawicami po jego ciele...

I słyszał słowa, gwałtowne, oderwane, mówione przytłumionym głosem, spływające w jego duszę, gdzieś z dali z poza mórza i gór..

— Poszłam z nim, sądziłam, że zdołam go pokochać, bo on mnie tak kochał...

Gdybyś wiedział, jak mnie to męczy... Ciebie, ciebie kochałam już dawno — dawno... Odkąd on zaczął mówić o tobie... Skłoniłam go, aby tu powrócił... kiedy cię ujrzałam, pierwszy raz — drżałam, traciłam zmysły... Ale nie mogę, nie mogę... Nie chcę chodzić z rąk jednego do drugiego. Puść mnie, puść —

Ale on nie słyszał już nic, tulił ją do siebie, wpijał się w jej usta, objął jej głowę i przyciskał ją z obłądną namiętnością do swojej twarzy.

W końcu wyrwała mu się i zaczęła łkać głośno.

— Puść mnie. Nie dręcz mnie. Ja — ja nie mogę!

Powstał, a niezmierny smutek zlał się w jego duszę.

Potem pochwycił jej obie ręce, patrzyli na siebie w milczeniu i trzymali się długo, długo za ręce.

— Więc mamy się rozłączyć?

— Tak.

— Na zawsze?

Milczała. Łzy płynęły jej po policzkach.

— Na zawsze? Falk drżał gwałtownie. Teraz miał usłyszeć wyrok śmierci.

— Na zawsze...

---

## XII.

Na ulicy stanął Falk, głęboko zamyślony. Stał długo, aż nagle zauważył to.

Tak, pierwszy raz w życiu czuł ten straszny, dławiący smutek.

Był zupełnie ubezwładniony.

Na zawsze! Uświadomił to sobie.

Powtarzał: Na zawsze. Ale nie mógł tego zrozumieć — co to znaczy, to niepojęte: na zawsze!?

Na rogu zatrzymał się.

A więc pójść do domu?

Cóż miał robić w domu?

Po drugiej stronie ulicy spostrzegł światło elektryczne w oknach kawiarni.

Bezwiednie wszedł do wnętrza.

Kiedy obejrzał się za wolnym stolikiem, cofnął się przerażony.

Spostrzegł Mikitę siedzącego w kącie. Wyglądał strasznie.

Czy to była krew? — Tak, krew... Falk podszedł do niego.

— Cóż ty zrobiłeś, na Boga?

Na skroniach była skrzepła krew i włosy były zlepione krwią.

Mikita spojrzał na niego szklannym wzrokiem. Przed nim stała duża butelka absyntu.

— A, to ty? Witaj, witaj, bardzo się cieszę.

— Cóż ty zrobiłeś?

To było wstrętne.

— No, kochany Falku, jak tam sprawa z miłością stoi?... A właściwie z tą sprawą główną w miłości?... Wyglądasz, jakbyś wprost szedł z łoża rozkoszy... łatwo poszło, nie prawda? Iza jest tancerką, bezbożną tancerką... Ha, ha, ha.

Mikita śmiał się z wstrętnym cynizmem.

Falk czuł obrzydzenie, ale opanował się.

— Ale cóż ty zrobiłeś? powtórzył, wpatrując się w Mikitę.

— Co zrobiłem? He, he, he... Rozbiłem sobie łeb o ścianę. Odrobina krwi... na miły Bóg! To skupia uwagę wszystkich ludzi na mnie i mogę wygodnie robić studia.

Wskazał na marmurową płytę stołu, pokrytą rysunkami.

— Nie, nie, to nic nie szkodzi... No ale powiedzże Falk, jak daleko zaszedłeś w miłości?

Falk spojrzał na niego z pogardą. Ale nagle odkrył te szklane błędne oczy, jakich nigdy dawniej u niego nie widział i ogarnęła go trwoga.

— Jesteś idiotą! — krzyknął.

Mikita opadł ze swego sztucznego podniecenia, zamyślił się, twarz stępieła, oczy słupem stanęły, odruchowo skinął głową.

— Wiem już... wiem...

Falk był przerażony. Siadł obok Mikity.

— Słuchaj Mikita, jesteś idiotą — czego chcesz od Izy, czego odemnie? Powiedz wreszcie szczerze.

Mikita spojrzał nagle na niego z wściekłością.

— Chcesz mnie może okłamywać? Czy nie spędziłeś z nią razem całego wieczoru?

Falk oburzył się.

— Z twojej winy towarzyszyłem jej... Najpierw wypędzasz ludzi za drzwi, a potem żądasz, aby spokojnie szli do domu. Dręczyłeś ją cały wieczór, kłueś głupimi, niegodnymi uwagami, a potem żądasz, aby spokojnie wróciła do domu i położyła się spać?

Oburzenie moralne było nie złe. Falk zawstydził się. To nędzne tchórzostwo i oszustwo!

— Więc gdzie byłeś z nią, gdzie?

— Gdzie byłem?... Musiałem ją uspokoić, bo jej niezwykle ugrzeczniony oblubieniec cierpi napady obłądzenia, a żeby to obrażonej pani wyjaśnić, trzeba było pójść gdziekolwiek... Nieprzyjemna rzecz wywoływać zbiegowiska na ulicy.

Mikita spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— No idź, głupi człowieku, tu obok i pytaj i badaj gospodarza, a wtedy dowiesz się, gdzieśmy byli... Zresztą dziękuję tysiącrotnie, nie chcę już

grać roli pośrednika w waszych sporach przedmażeńskich. Nie myślę już więcej roztaczać przed twoją narzeczoną wspaniałych zalet duchowych i umysłowych jej przyszłego małżonka i usprawiedliwiać go.

— Więc to zrobiłeś?

— Nie mam najmniejszego powodu zatajać cośkolwiek przed tobą.

To ohydne! to ohydne! powtarzał sobie Falk w duszy... Ale dlaczego? Że go tem uspokajam?... To miałoby być ohydne?... He, he... niech będą szczęśliwi, ja jej już nigdy nie zobaczę.

Mikicie poczerwiano w oczach. Chwycił rękę Falka i ścisnął ją tak gwałtownie, że Falk omal nie krzyknął z bólu.

— Ty... Falk... jąkał Mikita — ja... dziękuję — głos mu się złamał.

Nigdy jeszcze nie doznawał Falk tego przykrego uczucia, chciałby się wypoliczkować, ale... uszczęśliwiał go przecież. Równocześnie czuł głuchą nienawiść. Mikita wydawał mu się czemś podrzędnym... Do diabła! Jak można było chodzić z taką zakrwawioną twarzą! To zupełnie niesmaczne!

— Otrzeź przecież tę krew!

Mikita zmieszał się. Wstydził się i patrzył bezradnie na Falka. Potem poszedł do garderoby i obmył twarz i głowę.

Falka szarpnęło sumienie. Wstrętne. Teraz miał to obrzydliwe uczucie, że jest dobroczyńcą biednego, okłamanego Mikity... Tak! rodzajem mecenasa, który oszukanemu karłowi wracał szczęście — och, jakież to podłe!

No! cóż za głupstwo! Dlaczego miał poświęcać swoje szczęście dla Mikity? Dlatego, że tkwił w nim okruch pogrzebanej przeszłości, okruch głupiego sumienia, atawistyczna pozostałość pojęć posiadania, własności, czasu wcześniejszego i późniejszego... Tak samo mógłby być przed Mikitą, a Mikita mógłby tak samo zrobić to, co on chciał zrobić, czego już nie chciał zrobić... no tak, teraz wszystko minęło, przepadło... teraz — teraz...

Mikita wrócił.

— No wyglądasz znowu jak człowiek. Falk czuł potrzebę być nieskończenie dobrym dla Mikity — tak. jak dawniej, jak brat...

Próbował.

Ale Mikita był zawstydzony, wstyd mózg mu zalewał, ledwie mógł patrzeć na Falka — było mu gorąco i zimno na przemian. Brzydził się

samym sobą.

— Słuchaj Falk, pójdziemy.

Szli milcząc obok siebie.

Mikita kipiał, naraz przelało się w nim.

— Ty nie rozumiesz tego, Eryk; nie możesz tego pojąć... Co ty wiesz o niej? Mów, mów — co wiesz? Nic, nic... trzy, cztery miesiące żyłem z nią razem, a nie wiem nic. Rzucam się w przepaść — nie, nie ja; zator rwie mnie, wciąga mnie nieprzeparcie w siebie, wchłania mnie, a teraz spadam, lecę, zaprzepaszczam się.

— Słuchaj — słuchaj, Eryk. — Chwycił go kurczowo za ramię... Ty nie wiesz, jak to gryzie... jak to szalenie boli... Ta niepewność — ta... Rozumiesz... Czasem napada mnie na ulicy, kiedy idę i przewierca — kurcz... Tracę zmysły; ja — ja...

O gdyby on wiedział, jak ja się męczę, myślał Falk... Mnie to mówić!... Ha, ha, ha.

Nagle wydała mu się sytuacja zupełnie głupią. Jakież to było niezmiernie zabawne, że obaj, jak owce dotknięte kołowacizną, biegali wokoło tej samej kobiety... Zdusił nienawiść, która coraz potężniała w nim do człowieka, co dzielił z nim tę samą namiętność, ten sam ból.

— Ty nie znasz twojej narzeczonej...

Twoja narzeczonea. Jakie to było niewysłowienie bolesne. Ale nie miał jej przecie już nigdy widzieć. Nagle zrozumiał, w jednej tysięcznej sekundy pojął wszystko. Już nigdy... Przebiegł go zimny dreszcz.

— Tak, tak... ja jej nie znam, nic o niej nie wiem... Głos Mikity drżał... ale właśnie, właśnie...

Falk usłyszał stłumione łkanie. Ale nie czuł litości.

Stał się twardy.

— Słuchaj, Mikita, czuję, że jesteś o mnie zazdrosny — nie masz najmniejszego powodu. Tak, tak, wiem, walczysz z rozsądkiem przeciwko temu, ale to — to, co wyrywa się z głębi, nie da się pokonać rozumowaniem... Więc rozumiesz, twoja narzeczonea nie zobaczy mnie więcej... Nie, nie, pozwól sobie powiedzieć, to nie jest bynajmniej poświęcenie się. Lubię bardzo twoją narzeczoną, ale mylisz się, sądząc, że to jest głębsze uczucie — tak samo jest i u niej...

Falk zakrwawiał się...

— Nie, nie, ja cię znam; znam twoją przyjaźń — ale najlepiej będzie, jeśli się tymczasowo nie będziemy widywać... No bądź zdrow...

Mikita nie mógł przemówić ani słowa.

— Tak, tak, bądź zdrow.

Mikita chciał coś powiedzieć, ale Falk wskoczył do dorożki.

— Gdzie mam pana zawieźć?

Falk odruchowo i bezwiednie wymienił nazwisko ulicy, na której mieszkała Janina.

Nagle oprzytomniał.

Co? gdzie? Dokąd kazał jechać? Jak się to tak nagle zrodziło w jego mózgu?

Nie miał przecież świadomej myśli o Janinie — nie, przez cały dzień. Nie, ani raz nie pomyślał o niej.

Czego chciał od niej?

Ale nie zastanawiał się dłużej nad tem. Było mu przecież obojętne, gdzie jechał. I obojętne mu było także, czy zdawał sobie z tego sprawę lub nie...

To, co go najwięcej, najboleśniej obchodziło, było mu również niezrozumiałem i tajemnym. Dlaczego zakochał się w tej kobiecie? Dlaczego? Dlaczego cierpiał tak niezmiernie? Z powodu tej kobiety!

Ha, ha, ha... oto błąkają się po całym świecie dumni, twardzi i stalowi mężczyźni i pogardzają kobietą.

Falk trząsał się od śmiechu.

Pogardzają kobietą, ci mądrzy, twardzi mężczyźni! — Nie cierpią także z powodu kobiety. Są tacy dumni, tacy niepokonani! Tak, nawet stary, śmieszny Iltis pogardza kobietą...

Falk śmiał się nerwowo, nie wiedząc, dlaczego...

Nigdy nie cierpiałem z powodu kobiety!

Falk ujrzał przed sobą Iltisa.

Bo twój organizm jest za brutalny — organizm parobka, kochany Iltisie; twoja chuć jest przecież niezależna od mózgu, jesteś jak hydromeđuza, która nagle odrzuca ssawki, opatrzone narządami płciowymi i śle je, by szukały samicy, no, a potem nie troszczy się więcej o nie. Boże! Ty jesteś

szczęśliwy, kochany Iltisie, ale ja nie zazdrozczę ci twego szczęścia. Nie zazdrościłem nigdy wołowi, że może żreć trawę, nie zazdrozczę nawet wtedy, gdy cierpię najstraszniejszy głód.

Cierpię z mojej własnej winy, kochany Iltisie, cierpię, bo mój umysł stara się objawić swe głębie, wytworzyć łączne ogniwa, któreby mnie sprzęgły z wszechświatem, z całą naturą... Cierpię, bo nie mogę się stać naturą, bo nie mogę zlać, stopić w sobie tego, co jest moją połówą, kobiety, bo... bo... ostatecznie jest to obojętne, co mogę, a czego nie, wszakże to wszystko są tylko kłamstwa mojego aż nadto mądrego mózgu — tylko fakt, fakt... cierpię, jak nigdy jeszcze nie cierpiałem.

Wyciągnął się w powozie.

Teraz nie miał jej już nigdy widzieć... Dlaczego?

Dlatego, że Mikita był pierwszym, a może i starszym, a starszeństwu należy się pierwszeństwo — dlatego, że Mikita mógłby cierpieć...

Falk rozśmiał się szyderczo.

Tak, musi się poświęcić, bo ktoś inny mógłby cierpieć. I aby inny nie cierpiał, on musi cierpieć. Czyż Chrystus nie dał się ukrzyżować, aby innym niebo się otworzyło? A on, tak on, Eryk Falk bierze na swoje barki cierpienia innego, on jest dobroczyńcą, wielkim odkupicielem.

Teraz Mikita ugina się pod ciężarem moich dobrodziejstw, ledwie może się utrzymać na nogach, tak go ciężar gniecie.

Wstrętne! Falk splunął, czego przedtem nigdy nie czynił.

Tak, odjedzie, aby nie unieszczęśliwić Mikity. Tylko dlatego!

Oczywiście odjadę dlatego, że ona mnie o to prosi, ale dlaczego nie mam na to się zgodzić, że ktoś inny uważa mnie za dobroczyńcę? Dlaczego nie?

Mógłbym przecież powiedzieć Mikicie, że odjeżdżam, bo mi grozi niebezpieczeństwo, ale to nie wyglądałoby tak pięknie — a przecież? No tak, obojętne...

Albo mógłbym powiedzieć: Mikita, jesteś osłem, a chwilami zupełnie nieestetycznym panem. Oczywiście estetyka jest czymś niesłychanie głupim, ale trzeba mieć w ciele tyle cywilizacji, by z bólu nie rozbijać sobie łba...

O, Wszechmocny Panie, jakże dziękuję ci, że nie stworzyłeś mnie, jako owego celnika...

Tak, chwilami myśli człowiek bajecznie brutalnie.

Ale co to chciałem powiedzieć... widzisz, Mikita, trzeba się trochę ukrywać... Boże, nie mam nic przeciwko temu, że ty cierpisz; dlaczegożby nie? Ja też cierpię, ale ty powinieneś być zająć inne stanowisko... Więc widzisz: zauważyłeś, że twoja narzeczona zdradza cię z przyjacielem. Natychmiast się stajesz niezmiernie uprzejmym, z pewną odpychającą niedbałą oziębłością. Udajesz zupełnie obojętnego. Tylko na twojej twarzy widać kiedy niekiedy przeblysłk cierpienia. Zresztą bardzo rzadko, tylko wtedy, kiedy rzeczywiście to jest na swem miejscu i na czasie, to jest rzeczą instynktu, poczucia taktu.

Streszczam: trzeba być obojętnym, zimnym, odpychającym. Czy wiesz, co jabym wtedy czuł? Zawstydyłbym się w głębi serca, uważałbym się za biednego grzesznika, wydawałbym się sam sobie śmiesznym. Zupełnie możliwe, że potem te wszystkie ujemne uczucia oziębiłyby mnie, wytrzeźwiły.

Ale tak? — Ja jestem twoim dobroczyńcą, przed którym się wstydzisz, wstydzisz się, że tak śmiesznie wystawiałeś na widok publiczny swoją zazdrość, że twarz twoja pomazana krwią...

Tak, jestem twoim dobroczyńcą, któremu bełkoczesz podziękowania...

Tak, jestem twoim dobroczyńcą.

Dlaczego?

Bo stoisz niżej odemnie, bo masz mózg niewolnika, bo ja, ja — jestem zwyczajnym, wyrafinowanym łotrem.

A ona mnie kocha.

Dlatego jestem łotrem!

He, he Mikito, twoja logika jest przecież przerażająco głupia, przeraźliwie głupia.

Czyż on nie widzi, że Iza go już nie kocha? Cóż u diabła? Czyż jest ślepym?

Czegoż żąda od kobiety, która całą swoją duszą należy do innego?

Doróżka zboczyła z ulicy, wyłożonej asfaltem, na bruk.

To było nader nieprzyjemne.



No, nie mogło to już trwać długo.

Ale dlaczego, dlaczego chce wyjść za Mikitę? Dlaczego?

I wtedy przebiegła mu przez głowę myśl, która go podrzuciła, jak piłkę gumową.

Czy ona była — jego metresą?!

Coś wwiercało się w jego pierś, drobnymi, bolesnymi kolcami, tarzał się z bólu...

— Prędkiej, woźnico, prędkiej do dyabła!

— Co mnie to obchodzi!? — krzyczał. Co mnie to obchodzi, mnie — mnie?!

Nie zobaczę jej już nigdy. To nawet lepiej, daleko lepiej. Ta odrobina cierpienia przeminie, potem zapomnę...

Gdzież go to bydlę zawiozło?

Aha!

Falk wysiadł z powozu. Teraz musiał czekać na stróża nocnego.

Poco właściwie szedł do Janiny?

Stało mu jasno przed oczyma, co go czeka, kiedy wejdzie na górę... Oczywiście będzie płakać dlatego, że on jest taki smutny i znużony... a potem — nie! Nie chce, nie chce...

Ujrzał Iżę, jej smukłą, drobną postać i czuł jej pocałunki i jej wążką rękę.

Nie! Nie pójdzie...

No, więc do domu! Tak do domu...

Zapali lampę...

Nerwowo pomacał się po kieszeniach.

Dzięki Bogu, że miał przy sobie zapalniczki... Potem położył się do łóżka... nie! nie! Może zaśnie na sofie — tak, trochę morfiny — ale jutro ten ból głowy... nie zobaczy jej już nigdy...

Kiedy przyszedł do domu, znalazł list od swojej matki.

Był to bardzo długi list. Opowiadała mu dokładnie z wszystkimi szczegółami, że sprzedała wieś, bo po śmierci ojca gospodarstwo się nie wiodło, że rządca ciągle ją okradał i że przeniosła się do miasta.

Prócz tego było w liście długie opowiadanie o pewnym panu Kauerze, który był jej pomocą i któremu winna wielką wdzięczność, potem długie

pochwały na cześć młodej córki pana Kauera, która jest aniołem dobroci i wdzięku.

Imię Maryt brzmiało tak dziwnie w uszach Falka, słyszał to imię tylko w Norwegii...

A wreszcie, rzecz najgłówniejsza — Falk odetchnął. Matka opowiadała długo i szeroko, dlaczego to jest rzecz najgłówniejsza! musi do niej koniecznie przyjechać, aby uporządkować sprawy pieniężne. Musiał być przy tem, bo tak życzyli sobie kuratorowie majątku...

No dobrze się składa. A więc pojedę.

Odpisał matce, że ma zamiar natychmiast przyjechać i sam zaniósł list zaraz do skrzynki pocztowej.

---

## XIII.

Falk musiał jeszcze czekać pół godziny.

Głupi zegarek zawsze spieszył.

Głowa mu ciążyła, morfina ubezwładniła mu członki.

Oprócz tego miał jeszcze febrę, serce uderzało gwałtownie, chwilami musiał się schylać, bo w piersiach czuł silne klucie.

Obejrzał się.

Przy bufecie siedziało dwóch urzędników kolejowych i grali w karty z kelnerem.

Chciał piwa, ale nie śmiał przeszkadzać kelnerowi.

Potem spojrzął na wielkie drzwi szklane i przeczytał kilkakrotnie: poczekalnia.

Tak, bezwątpienia musiał czekać.

Znowu spojrzął na bufet.

Dziwna rzecz, że nie zauważył pierwej czwartego mężczyzny.

Mężczyzna miał czarne wąsy i obrzmiałą twarz. Przyglądał się przez chwilę grze, potem stanął przed lustrem i patrzył na siebie z zadowoleniem.

Tak, bezwątpienia; jesteś bardzo piękny — bardzo piękny...

Czy też miał kochankę? Zapewne... musiał się przecież podobać kobietom. Gdyby Mikita... no tak...

Szkoda, szkoda, że przecież musiał niepokoić kelnera... Zadzwoił.

— Wybacz pan, ale mam pragnienie!

Kelner uważał to za naganę i usprawiedliwiał się wielokrotnie.

Nie, gdzieżtam, przykro mu bardzo, że musiał przeszkadzać, Falk obchodził się z kelnerem z wyszukaną grzecznością.

Teraz musiał iść. A tak mu było dobrze w poczekalni.

Kiedy wszedł do przedziału, doznał niezwykłego uczucia radości.

Przedział był próżny.

Jakie szczęście. Teraz nie mógłby z nikim siedzieć. Taby go mogło do rozpaczki doprowadzić. Nie mógłby ani jednej myśli domyśleć do końca.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze pięć minut.

Przycisnął głowę do okna przedziału.

Na dworcu skupiło jego uwagę światło latarni gazowej.

Światło trzepotało w wiosennej burzy, jak ostry trójkąt z podstawą ku górze; podstawa była bardzo wklęsła, tak, że krawędzie podrzucały się w górę, gdyby ostre jęczyczki. Tak musiały wyglądać języki ogniste, które spadły na głowy apostołów...

Zbudził się z zamyślenia.

Że też to wszystko widział.

Szkoda, że nie miał notatnika! Szkoda, szkoda! Powinienby właściwie notatki robić, aby odkryć duszę.

Pociąg ruszył się z miejsca. Co? Jak?

On miałby odjechać od niej? od niej?

Nie, niemożliwe!

Zimny pot wystąpił mu na czoło, przerażające uczucie strachu pieniało się i wrzało...

Od niej?!

Coś pchało go, by wyskoczyć z wagonu i pobiedz do niej — upaść przed nią, objąć jej kolana i powiedzieć jej, że bez niej żyć nie może, że musi do niego należeć — że — że... Dusił się. Chwycił się za głowę i zapłakał głośno.

Słyszał, jak pociąg szaleje niewstrzymany, bez przerwy, nic, nic go nie mogło powstrzymać.

Och! Z drugiej strony powinien nadejść pociąg i oba powinnyby się zderzyć, maszynami się wbić w siebie, a wozy spiętrzyć ku niebu.

Jakie złe powietrze było w tej obrzydliwej klatce — zupełnie jak w kawiarni.

Otworzył gwałtownie okno.

W mgnieniu oka napełnił się przedział nieprzyjemnym, wilgotnym chłodem.

Uspokoił się znowu i zamknął okno.

Jedno stało mu jasno przed oczyma: nie mógł odjechać, nie powinien: głowa musiałaby mu się rozsadzić — prawda, jak to powiedział do Izy? Jego dusza musiałaby się rozbić... rozbić w drobne kawałki, zupełnie jak Bóg, o którym Grabbe pisze: — — Ja, rozbity na części a każda cząstka bogiem, odkupicielem, nowym rabbim Jeschua, który się dla innych poświęca.

Nie chcę się poświęcać, chcę być szczęśliwym! krzyczał.

Nagle wrócił do przytomności.

Co się z nim dzieje właściwie? Czemu to całe nieświadome szaleństwo? Czyżby Kant miał mieć słuszość? Czyżby miłość była tylko chorobą, febrą, służącą do wydzielenia chorobliwych zarodków — procesem wyzdrowienia — głupstwem — i — Boże! jakże ten pociąg szalał.

Wyciągnął się. Pociąg zaczął się nieznośnie trząść.

Tak, coś zapadało się pod nim, szedł jak po płachcie płóciennej. Szedł odważnie. Chciał pokazać chłopcom wiejskim, że on, syn dziedzica, ma więcej odwagi niż oni wszyscy. Oni stchórzyli. Teraz chciał im pokazać. I szedł po jeziorze, które dopiero w nocy zamarzło; lód trzeszczał pod nim, ugiął się, szedł jakby po bagnistych torfowiskach, a nagle...

Falk zerwał się i położył znowu.

I znowu czuł spadanie i spadanie, bezwiednie wyciągnął ręce, aby się czegoś chwycić.

Nie! nie mógł odjechać od niej. Musi być jego. Zmusi ją... zmusi... ona go kocha, ale jak wszystkie kobiety, boi się... Pożąda go, wiedział to dobrze, ale lęka się.

O Boże, Boże, żeby pociąg chciał się zatrzymać!

I chodził po tej obrzydliwej klatce, pulsa biły mu gwałtownie, przerażający niepokój burzył jego świadome myślenie. Ciągłe spostrzegał myśli i uczucia, które Bóg wie skąd wypełzły i dręczyły go.

Czego Mikita chce od niej? Należy przecież do mnie, należy... Czyż Mikita chce zgwałcić jej duszę?

Nagle zauważył, że pociąg zwalnia; radosne uczucie wstrząsnęło nim: Wreszcie! wreszcie! Ale zobaczył, jak przejechali przez stację, nie zatrzymując się, a pociąg znowu zaczyna pędzić jak pierwej.

Teraz chciałby zalkać głośno! Ale czyby to pomogło? Musiał czekać cierpliwie...

Ogarnęła go głucha rezygnacja.

Nie był przecież dzieckiem, musiał czekać, musiał się nauczyć panować nad sobą.

Usiadł przy oknie i starał się coś zobaczyć. Ale noc była tak ciemna — noc była tak głęboka, oh, głęboka, głębsza niż dzień to pomyśleć może.

I otchłanie w jego duszy były tak głębokie... Zamknął oczy.

Zobaczył nagle polanę w lesie swego ojca.

Widział dwa łosie, które walczyły z sobą. Widział, jak zwierzęta uderzały na siebie olbrzymimi rosochami, jak cofały się, aby się rzucić ku sobie z strasznym rozpędem. Potem widział, jak splątały się rosochami, jak w dzikich skokach chciały je rozerwać i obracały się w koło... Nagle zdało mu się, że słyszy chrupot rogów: jeden łось wyswobodził się i wbił drugiemu rosochy w pierś. Przebił go. Coraz głębiej wwiercał rogi, wbijał, że krew strumieniem tryskała, rozdzierał mięso i wnętrzności z dziką wściekłością.

Straszne, straszne! krzyknął Falk.

Obok walczących pasła się samica. Nie troszczyła się o dziką walkę wściekłych chucią samców.

Falk starał się rozerwać umysł, ale przed oczyma widział ogniste pierścienie, które wyciągały się w olbrzymie rozżarzone koła—coraz bardziej — ledwie mógł objąć ich rozmiary, a w środku stał zwycięzca drżący i skrwawiony, ale dumny i potężny. Na jego rosochach wisały jelita rywala. Potem jednak widział, jak zwycięski łось zaczął kołować i coraz szybciej kręcił się w koło siebie, coraz szybciej... ognisty wir pochwycił go i unosił — Falk widział go spadającego jak oberwaną planetę dokąd? — dokąd?

Wir — wir... Boże, gdzie słyszał tę opowieść, tę opowieść o wirze, który nęci, wciąga, rwie za sobą...

I znowu zciemniało mu przed oczyma.

Ujrzał przed sobą Mikitę. Rzucił się na niego. Chwycił go i włókł po korytarzu, potem obaj z łoskotem spadli na dół. Poręcz się złamała. A oni, skłębieni, dyszący z wściekłości spadali na kamienie czarnej otchłani...

Falk bezmyślnie rozglądał się w koło. Słyszał, że ktoś wszedł do przedziału.

Nagle poznał konduktora. Ogarnęło go uczucie radosne.

— Gdzie? — gdzie najbliższa stacja?

— Za dwie minuty staniemy.

Oprzytomniał zupełnie.

Ogarnął go niepokój. Spojrzał na zegarek. Tylko trzy godziny jechał, więc za trzy godziny wróci — a potem do Izy — do Izy...

Pociąg zatrzymał się. Falk wysiadł.

— Kiedy odchodzi pociąg z powrotem?

— Jutro o godzinie dziesiątej.

Kolana zadygotały pod nim. Stracił przytomność.

Hotel Sterna, Hotel de l' Europe, Hotel du Nord! krzyczano w koło niego.

Oddał komuś walizę i pozwolił się wieść.

Kiedy się na drugi dzień późno w południe obudził, rozejrzał się po pokoju.

Hm, jak na pokój w hotelu — wspaniały. Wszystkie członki bolały go, ale doznawał wrażenia, że przezwyciężył chorobę.

Tak, bo był tak nerwowy, a ta nerwowość była jego zdrowiem. Czcigodni panowie doktorzy jeszcze to kiedyś zrozumieją...

Potem wstał z łóżka i zadzwonił.

Kiedy kelner wszedł, zapytał go, gdzie się właściwie znajduje i zażądał kawy... dziwne: więc rzeczywiście nie oszalał..

Czul w sobie wielki, uroczysty spokój.

Więc tu pozostanę. No, wszak mi tu bardzo dobrze.

Kazał sobie przynieść papier listowy i napisał list do matki, w którym wytłómaczył jej, dlaczego nie może przyjechać, jak ma załatwić sprawę z kuratorami, i zaznaczył, że prawdopodobnie całe lato spędzi za granicą...

Jeszcze raz przeczytał list matki, czy przypadkiem nie życzy sobie jeszcze jakiegoś wyjaśnienia. Wzrok jego padł odruchowo na imię Maryt.

Tak, więc polecił jeszcze pozdrowić serdecznie anioła dobroci i wdzięku — Maryt. Kiedy skończył list, wypił kawę i położył się znowu spać.

Zasnął natychmiast.

Śnił o aniele dobroci i wdzięku — śnił o Maryt...

---



## XIV.

W restauracyi pod „Zielonym słowikiem“ bawiono się wesoło.

Iltis siedział z powagą, jak przystało na wielkiego człowieka i wykladał Mikicie, dlaczego kobieta stoi niżej od mężczyzny. Umyślnie zwracał się plecami do młodego literata, który siedział obok niego. Poprzedzającego dnia wynikła między obydwojma niemiła scena, bo młody człowiek ośmielił się zauważyć, że Iltisa nienawiść do kobiet opiera się zapewne na czemś zupełnie innym, niż tylko na teoretycznych powodach. Za każdym razem bowiem, kiedy jakaś dama pojawiła się w ich towarzystwie, Iltis wygadywał na kobiety niestworzone rzeczy.

— Widzisz — mówił Iltis — jesteś młody i Falk także. Wy tego nie pojmujecie; ale poczekajcie, kiedy przełajdaczyście dziesięć lat z kobietą w małżeństwie — ostatnie zdanie wymówił szeptem ze względu na Izę — wtedy zobaczycie. Kochany, dobry Falk przytacza kobiety z Yuma, Indyanki z Chikesawa i tym podobne naukowe brednie, ale faktem jest, że kobieta jest niższem stworzeniem.

Ssak chciał coś wtrącić, ale Iltis przerwał mu gwałtownie.

— Nie, nie!... Fakt pozostaje faktem! Napuszył się należycie... Zresztą nie powinno się przykładać wielkiej wagi do dowodów.

Mikita nie słuchał. Ból go szarpał, wstyd, który z rozszalałą wściekłością gnał mu krew do mózgu.

Poco jeszcze dalej?... Wszystko minęło... Myślał o jej odpychającym obejściu — o jej — jej... Czyż to nie było poprostu nienawiścią?

Jak on ją błagał, jak się czołgał przed nią i prosił o przebaczenie! Ale ona, hm... hm, ten lodowaty, zimny uśmiech... Czyż oczy jej nie mówiły wyraźnie: poco żebrzesz, poco stawiasz mnie w tak niemiłe położenie? co ja mam jeszcze wspólnego z tobą...

Westchnął głęboko.

— Zdaje się, że jakoś ci ciężko na sercu... Iltis mrugnął oczyma.

— Ale pozwól pan, ja bezwarunkowo się nie zgadzam; Ssak zastanawiał się, jakby najpiękniej mógł wypowiedzieć swoje dowody przeczące.

Iltis rozgniewał się.

— Tylko nie być małostkowym. Tylko nie małostkowym, inaczej dojdziemy do głupiej tak zwanej nauki. Czy mam panu opowiedzieć moje doświadczenia z uczonymi?

Dlaczego Falk właściwie nie przychodził, rozmyślał Mikita, wszak to nie było potrzebne... Ha, ha, ha, aby mi dać sposobność ją na powrót odzyskać? Na zdar, drogi Eryku; już zapóźno, już zapóźno.

Ale dlaczego ją tak dręcę? Czego jeszcze chcę od niej?... Miłości? Czy można ją wymusić? Śmieszne! Śmieszne! Jak można było wogóle kochać człowieka, który był tylko śmieszny?

Spojrzał na Izę, która jak zwykle siedziała na uboczu.

Ale Iza nie patrzyła na niego. Była bardzo podniecona. Na jej policzkach żarzyły się czerwone plamy, oczy błędziły wokół niespokojnie...

Drzwi otworzyły się, wszedł jasnowłosy teozof.

Iza spojrzała szybko ku drzwiom, nie mogła widocznie zapanować nad sobą w tej chwili, zadrzała.

Uśmiechnęła się do jasnowłosego młodzieńca, ale nie mogła ukryć wyrazu wielkiego rozczarowania.

Tak, rozczarowania! Do licha, nie był przecież ślepym... tak wyglądają ludzie, którzy są rozczarowani. A ten nerwowy drżący ruch oczekiwania — oczekiwania! Kogo oczekuje? Kogo? Głupi Mikito, nie wiesz kogo oczekuje? Nie wiesz, dla czego ani przez pół godziny nie chce zostać z tobą sam na sam; nie wiesz, dlaczego już od trzech dni ustawicznie włóczy cię tu z tobą!

Rozśmiał się zgryźliwie.

Falka oczekuje, he, he — Falka! Powtarzał jego imię, sprawiało mu to przecież wielką przyjemność; Falk był przecież jego przyjacielem, więcej jeszcze! bratem; z pewnością zrobił dla niego wielką ofiarę, tak z wszelką pewnością... Narzeczony, który cierpi napady obłędu, ma pozyskać swoją narzeczoną, ma zyskać na czasie, by ulokować swój kapitał w pewnym miejscu.

— Hi! Hallo! Hu! — ryknął. — Twoje zdrowie, Iltis!

Wszyscy obejrzeni się zdumieni, to było przecież niezwykle, żeby Mikita tak ryczał.

Mikita opanował się.

Niech djabli biorą wasze filozofowanie... kobieta — mężczyzna... to wszystko głupstwo; wszystko głupstwo... Weselmy się! Weselmy!

Iza znużona spojrzała na Mikitę.

Dlaczego znowu tak krzyczał? Co mu znowu było? O kogo był teraz zazdrosny?

Jak ten człowiek jej obrzydł. Jak mogła go kiedyś kochać? Nie, nie mogła tego znosić dłużej; musiała teraz położyć kres. Dzisiaj jeszcze! Kiedy ją będzie odprowadzał do domu — tak dzisiaj jeszcze!

Ale jak mu to powie?

Serce jej biło.

Jak ona mu to powie? Spokojnie i zrozumiale. Czyż był ślepy? Czyż nie mógł ułatwić jej w tem przykrem położeniu? Wie teraz przecież, że kocha Falka. Czy tego jeszcze nie rozumie? Tak wyraźnie dała mu do zrozumienia, że jest jej obojętny.

Natrętny człowiek! Bała się myśleć o tem, nie śmiała; ale teraz nagle zrozumiała, że jest jej wstrętny... Dziwiła się, że nie czuła ani bólu, ani litości...

Natrętny człowiek! Tak! czuła rozkosz, że mogła powtarzać ten wyraz bez przykrego uczucia.

Znowu się drzwi otworzyły.

Teraz Falk idzie, z wszelką pewnością: drżała.

Ale wszedł ktoś nieznajomy.

To było przecież straszne czekać tu i czekać i siedzieć z tym wstrętnym motłochem.

Czuła oczy Mikity, skierowane ku sobie, ale unikała jego wzroku.

Boże, jaki on jej był obojętny!

Co się działo z Falkiem przez tych pięć strasznych dni?

Czy miała iść do niego? Ale nie wiedziała przecie gdzie mieszka. Mikity się spytać? Nie, nie można.

Zamyśliła się.

W jaki sposób mogłaby go zobaczyć? Dlaczego zaklinała go na Boga, aby już nigdy do niej nie przychodził?... ale wtedy nie wiedziała jeszcze, że go tak kocha, że Mikita jest jej tak obojętny, że cały, cały świat sprawiał jej tylko ból.

Była całkiem zrozpaczona. Dlaczegoż znowu tak krzyczał? Spojrzała mimowoli na wypróżnione flaszki, które stały przed Mikita.

— Czy wiesz, czym jest miłość? — Mikita stracił panowanie nad sobą. Czy wiesz, co to jest ból pożądania? wiesz? Czy wogóle kochałeś kiedykolwiek jakąś kobietę?

Iltis machnął pogardliwie ręką.

— Tak... tak... Mikita jąkał się. Kobieta zrodziła mężczyznę i to jej wystarcza! Kobieta rodzi, a mężczyzna kocha. Kobieta nie kocha nigdy, nigdy; jej wystarcza rodzenie...

— Co? Kobieta kocha także? Co?

— Ale kobieta popełnia przecież samobójstwo z miłości — wtrącił Ssak — codziennie prawie można o tem czytać w dziennikach.

— Co? Samobójstwo? Spytaj się pan jego, spytaj, on zna się lepiej na tem — Mikita wskazał na Iltisa — kobiety popełniają samobójstwa, kiedy są ciężarne i opuszczone przez kochanków!

Mikita uderzył gwałtownie pięścią w stół.

Iza spojrzała na niego z niezmierną pogardą.

Znowu się upił. Jak mogła kochać dawniej tego człowieka? Nie, nie kochała go nigdy. To było tylko iluzją, złudą.

Nastała cisza. Obecność Izy przygniatała wszystkich. Mikita zachowywał się zbyt bezwzględnie w jej obecności.

Mikita umilkł nagle.

Widział: tak! pierwszy raz widział — ten wzrok pogardliwy! Widział go dokładnie.

Spuścił głowę.

Dokładnie. Wzrok wpijał się w niego głębiej i głębiej. Widział teraz oczy jej w sobie... jak one na niego patrzyły?

A gdyby je chciał namalować?... Narzucił kilka plam na płótno i cofnął się o trzy kroki... Nie! źle widział — a więc z kąta pracowni — też nie — z

drugiego... A teraz przez lusterko... A więc nie można tego inaczej wytłómaczyć... To była pogarda. Wielka, zimna pogarda — i obrzydzenie.

Iza nie była w stanie wytrzymać dłużej. Czuła gorączkowy niepokój; czuła, jak serce szybciej i szybciej uderzało o piersi.

Musiła zobaczyć Falka za każdą cenę, musiał wreszcie przyjść.

Przychodzi tu przecież codziennie; dlaczegóż właśnie teraz nie przychodzi?

Rozmowa ożywiła się znowu.

— Ach, dajcie mi spokój z literaturą, to wieczne gadanie o poetach, nakładcach, honoraryach — to mnie już do rozpacz doprowadza — Iltis ziewał. — Czego chcecie od Falka? To dobre chłopisko.

Iza słuchała.

Spostrzegła, jak Mikita wyprostował się nagle.

— Co? Co? Falk?

— No tak — prawil Ssak — Falk ma talent, przyznaję, ale ten talent rozwija się dopiero, musi dojrzeć — wyszumieć; nie wiadomo jeszcze, jak się rozwinie. Falk jeszcze ciągle szuka, błądzi...

— Co? Falk błądzi?... Mikita rozśmiał się na cały głos. Wspaniały pan jesteś... Wiesz pan, Falk jest jedyny człowiek, który umie coś zrobić. Falk wynalazł nowe rzeczy. Tak, Falk umie to zrobić, cobyście wy wszyscy zrobić chcieli, a nie umiecie. — Falk — Falk...

W tej chwili pan Buchenzweig zbliżył się do Izy.

Przypuszczał, że wszystkie te rozmowy muszą ją nudzić, więc chciał ją bawić.

Spojrzała na jego gładką, nalaną twarz, twarz kelnera lub „pięknego“ fryzjera. Czego chciał ten człowiek?

Tak, pan Buchenzweig miał zaszczyt widzieć ją przed kilku dniami na wieczorze w towarzystwie Falka. Falk jest niezmiernie zajmującym człowiekiem, jednym z tych, którzy go najbardziej interesują... Przyszedł tu tylko dlatego, aby się z nim spotkać...

— Słuchaj, Iza — krzyknął Mikita przez stół — czy wiesz, że Falk wyjechał z Berlina?

Nieruchomie utkwil w niej oczy.

Izą drgnęła. Czuła gwałtowny ból w twarzy, ściskanie w piersiach... patrzyła szeroko rozwartymi oczyma na dziką, złośliwą, zaczerwienioną

twarz Mikity, potem odruchowo zwróciła się do Buchenzweiga.

Schwyciła za kieliszek, ale był próżny.

Buchenzweig usłużnie pobiegł za kelnerem.

Wszystko pomgła jej przed oczyma. Nic nie widziała. Nagle usłyszała czyjś głos. A! to Buchenzweig. Ale nie mogła zrozumieć, czego chciał.

Patrzyła na niego, uśmiechała się bezradnie — przyniesiono wino. Wypiła.

— Znam bardzo dobrze Halbego. Niezwykle miły człowiek, wielka siła w naszych czasach, w których tak brak wielkich talentów.

Iza spojrzała na niego. Nagle obrzydł jej ten człowiek. Nie wiedziała, dlaczego.

— Wybacz pan, panie Buchenzweig, towarzystwo pańskie jest mi bardzo przyjemne, ale muszę już iść do domu.

Podeszła do Mikity.

— Pójdę teraz do domu.

— Tak, tak? — na prawdę? Nudzisz się?

Nie słuchała jego słów; ubierała się.

Kiedy już siedzieli w dorożce, Mikita krzyknął na Iltisa, który uprzejmie pomagał Izie przy wsiadaniu:

— Zaczekaj, zaraz wrócę! Spędzimy wesołą noc.

Iza zmarszczyła brwi.

Oboje nie mówili ani słowa.

Była złamana, nie mogła myśleć. Była tak zmęczona.

Chwilami wpadała w beznadziejną rozpacz, która znowu zmieniała się w senne znużenie.

— Słuchaj, Iza, jutro otwierają w Monachium wystawę moich obrazów.

— Tak?...

Powóz zatrzymał się.

— Dobra noc! Mikita drżał na całym ciele.

— Dobra noc.

— Teraz jedź szybko z powrotem — krzyknął na woźnicę.

Woźnica uderzył konia biczem, dorożka pędziła po ulicy wyłożonej asfaltem.

Tymczasem Mikita wił się i kurczył, opanowany gwałtownym napadem kurczowego płaczu.

Kiedy powrócił do „Zielonego słowika“, był już spokojny.

Powitano go gromkim okrzykiem.

Tak, Iza gnębiła wszystkich swoją obecnością, pomyślał.

— Słuchaj — usiadł obok Iltisa — jeżeli się dziś upiję, to wsadź mnie jutro rano do pociągu. Siódma, trzydzieści minut. Pamiętaj...

— Dobrze, dobrze; setki razy jeździłem już tym pociągiem.

---

## XV.

Falk siedział w pokoju hotelowym pogrążony w myślach.

Poco tu właściwie przyjechał? Równie dobrze mógłby się męczyć w Berlinie.

Teraz minęło już pewnie sześć dni?

Myślał. Tak, dzisiaj był szósty dzień. Ale dłużej nie mógł tu już wytrzymać. Nie, bezwarunkowo nie. Musiał to przyjąć jako nagły fakt, że nie zdoła dłużej znieść tej męczarni. Musiałby bezwątpionia zmarnieć. Każdego dnia pękało coś w nim, co wczoraj było jeszcze zdrowe, z każdym dniem rósł wstręt do życia — a ten ból, ta męka...

Zmarnieć z powodu kobiety? On, artysta, on... Ha, ha, ha...

No, w każdym razie lepiej zmarnieć z powodu kobiety, niż z powodu idyotycznej apopleksyi, tyfusu lub dyfteryi.

O ty głupi Iltisie! Jakiś ty płytki. W takim razie marnieję przynajmniej sam przez siebie, ginę z powodu tego, co właśnie jest istotną głębią mojej duszy. Bo ona, ona: to Ja, Ja, którego Ty nigdy jeszcze nie widziałeś, to Ja, które ja sam dopiero teraz poznałem.

Możesz zmarnieć na delirium lub manię prześladowczą, jeżeli to uważasz za rzecz godniejszą — ja ginę sam przez siebie.

Ale, dlaczego u stu diabłów zmarnieć? Chcę być szczęśliwym — chcę żyć...

Nagle stracił wątek myśli. Mózg jego był zanadto roztargniony w ostatnich czasach.

Siedział i siedział i zauważył, że był jakby ogłuszony. Zmuszał się do myślenia.

Hm, wszak nigdy nie zrobił nic, czegoby nie był kontrolował swoim mózgiem. Tak, jeszcze przez dwa pierwsze dni panował nad sobą. Wszak działał na nią świadomie środkami z góry obmyślanymi...



Boże! Ta śmieszna opowieść o łabędziach! Jak głupio obmyślana, jak niezręcznie... jak chłopięco...

A potem dostał się w prąd, w wir. Mózg zaczął się kręcić wkoło siebie i wirował coraz szybciej, spadał, zaprzepaszczał się w bezdenne malstrom chuci...

Ten taniec — ten taniec...

Ujrzał nagle w kącie pajęczynę. Patrzył na nią długo i uważnie, aż oczy mu się zamknęły.

Był znużony, strasznie znużony, czuł łamanie we wszystkich kościach.

Tak, trzy — nie! cztery godziny biegał, aby znużeniem zwalczyć ból, aby mózg zasnąć bez tej obrzydliwej trucizny, morfiny...

Teraz musiał się jeszcze wpatrzeć w jakiś błyszczący przedmiot.

Długo wpatrywał się w mosiężną klamkę.

Czuł tylko to jeszcze, że łzy spływały mu po policzkach — ciche, smutne łzy.

Był wspaniały dzień jesienny. Jasne, słoneczne południe. Patrzył na przepyszną wieżę kościoła Zbawiciela w Kopenhadze. Mikita stał przy nim i powiewał chustką.

Farwell! Farwell! słyszał głos, ale nie widział nikogo. Nagle spostrzegł obok siebie zapłakanego młodzieńca. Biedaczysko! Miał pewnie jechać do Szczecina, aby szukać zajęcia.

Ile mil morskich mógł ten parowiec robić na godzinę?

— Patrz tylko! — Mikita wskazał mu parowiec angielski.

Dwaj majtkowie boksowali się, jak szaleńcy. Widział ich, jak skakali na siebie niby dwa koguty. W mgnieniu oka splątali się w kłębek, który toczył się po ziemi, rozwijał, znowu się wiązał, podskakiwał w górę i opadał. Potem widział, jak zerwali się z ziemi i z nową wściekłością rzucili się na siebie. Widział ciskające się pięści, potem spadli na schody prowadzące do kajut, znowu zjawili się, znowu kłębek ciał podskakiwał w dzikich podrygach po pokładzie...

Falk zbudził się, otworzył oczy i zamknął je napowrót.

— Słuchaj Eryk, widzisz tę cudowną noc w wodzie i ten blask — to migotanie. — Boże, gdyby to można wymalować!

— Ty mój złoty chłopie!

I siedzieli i pili. Noc była taka czarna. Siedzieli przytuleni do siebie.

Ale nagle ogarnął ich szal. Chwycili się za bary. On podniósł Mikitę w górę i chciał go rzucić przez pokład. Ale Mikita był zwinny. Wysunął mu się z rąk i chwycił go za nogi. Falk rozpaczliwie bił Mikitę pięściami po głowie, ale Mikita nie zważał na to, niósł go, tak, chciał go rzucić w morze, już zbliżyli się do baryery. Teraz... teraz... Nagle uczuł coś twardego pod nogami. Rzucił się całym ciałem na Mikitę, tak że go zgniótł, przełamał w tył, jednym ruchem chwycił go za biodra... jeden straszny rozmach: Mikita wyleciał w czarną noc na morze.

Falk obudził się.

Stał w środku pokoju z zaciśniętymi pięściami.

Oprzytomniał.

Ogarnęła go dzika nienawiść, rozszalała żądza walki.

Przez pokład, przez pokład!

Zacisnął zęby. Drżał na całym ciele. Biegł gwałtownym krokiem wokół pokoju. Kto chciał mu odebrać szczęście? z czyjej przyczyny miałby zniszczyć?

Powoli uspokajał się.

Stało mu jasno przed oczyma: Jeden musiał zginąć, on albo Mikita. Był na rozstaju: dwie drogi przed sobą — albo będzie szczęśliwy, a zniszczy Mikitę, albo przeciwnie, bo nie mógł żyć bez niej. Ona nie kochała już Mikity. Więc czegoż chciał od niej? Czem był Mikita dla niego? Chodzili razem do szkoły, razem cierpieli głód — no, i cóż? Cóż więcej?

Usiadł i zwiesił głowę.

Nigdy nie doznawał jeszcze tej chorobliwej, bolesnej tęsknoty za nią...

Tak! na rozstaju. — On albo ja.

Wir wciągnął nas obu w siebie — jednego pcha ku szczęściu...

Tylko jednego ku szczęściu...

A tym jednym jestem ja!

Widział przed sobą łosia, drżącego, krwią zbroczonego zwycięzcę.

Ogarnął go niezmierny niepokój.

Zdarł z siebie ubranie i wdział je znowu. Szukał pieniędzy, przewracał wszystkie kieszenie, nie mógł nic znaleźć, niecierpliwił się, biegał do koła, pot wystąpił mu na czoło.

Musiał jechać do niej. Musiał. Nie mógł już dłużej znosić tych męczarni. Wyrzucił z łóżka kołdrę i materac i znalazł wreszcie portmonetkę pod poduszką.

Gdyby tylko nie było zapóźno, gdyby tylko nie było zapóźno...

Spojrzał na zegarek.

Zadzwoił gwałtownie.

Kelner wbiegł szybko do pokoju.

— Kiedy odchodzi pociąg do Berlina?

— Za nie całą godzinę.

— Szybko, szybko rachunek! Spiesz się pan na miłość boską...

Kiedy Falk stanął w Berlinie, był już późny wieczór.

Nagle zrozumiał: musiał iść do Mikity.

Tak, powie mu otwarcie, żeby się nie oddawał iluzjom, że Iza go nie kocha, a jeżeli mu tego nie powiedziała, to tylko dlatego, że chciała mu prawdopodobnie do czasu oszczędzić bólu, litowała się nad nim.

Tak, musiał mu to powiedzieć zupełnie szczerze.

A jak to było niezmiernie przykre.

No? Dlaczego? Mikita był przecież dla niego zupełnie obcym człowiekiem.

Ale w miarę, jak się zbliżał do pracowni Mikity, czuł coraz większy ciężar.

Nie! Nie mógł tego Mikicie powiedzieć.

Musiał ustawicznie myśleć o tem, czem był Mikita dawniej dla niego, jak go kochał...

Ledwie mógł oddychać.

Przed mieszkaniem Mikity zatrzymał się niepewny.

Tak, musiał, musiał... ale... o Boże! Tak! jeżeli tego nie zrobi, musiałby znowu wyjechać.

I przypomniał sobie straszną mękę ubiegłych sześciu dni.

Straszne! Straszne! — szeptał.

Wszedł na górę.

— Czy pan Mikita w domu?

— Nie! Wyjechał do Monachium.

Falk zatrzymał się na schodach. Nie mógł ogarnąć tego szczęścia.

To szczęście!

Powtórzył to raz jeszcze, ale czuł się pomimo tego szczęścia dziwnie pognębionym.

A teraz do Izy — do Izy!

Myślał tylko o niej. Starał się przedstawić sobie, jak go przyjmie, myślał o tysiącu drobnostek, jakie u niej zauważył, myślał z wysiłkiem, rozpaczliwie, aby się oszołomić, zagłuszyć coś w sobie, co chciało mówić, co broniło się i wzdrygało przed tem wielkiem szczęściem.

Nagle zrozumiał: Nie powinien był iść do Izy! Musiał czekać, aż Mikita powróci. Musiał mu wszystko powiedzieć, aby Mikita nie zarzucił mu tchórzostwa, nie powiedział, że uwiódł mu narzeczoną za plecami.

Tak! Musiał czekać.

Ale to było niemożliwością — fizyczną niemożliwością. Teraz wszystko naprężyło się w nim do ostatecznych granic; jeszcze tysiączna część milimetra więcej, a cięciwa pęknie. Więc pocóżże wrócił?

Tak długo, jak mógł znosić cierpienie, nic wracał, walczył dzielnie, bardzo dzielnie, ale teraz...

Otrząsnął się nagle.

Nie, teraz dość już walki! Czyni to, co musi uczynić, choćby dziesiątki, tysiące uczuć się przed tem wzdrygały... na Boga, nie zaprzecza wcale, że każde z tych uczuć przedstawia pewną ilość konieczności, ale ostatecznie zwycięża zawsze ostatnia, potężna konieczność, nie dająca się odwrócić!

I zastanawiał się nad najdrobniejszymi szczegółami tej myśli, ale znowu ogarnęło go straszne pognębienie.

W głębi duszy czuł głuchą trwogę, zakłopotaną, wstydliwą męczarnię, a potem czuł, jak wszystko spływa w jedno uczucie, uczucie niezmiernie smutne, uczucie zatracenia, beznadziei... Był strasznie zgnębiony.

Przechodził koło zegara. Przestraszył się bardzo.

Za pół godziny zamkną bramę, a wtedy nie będzie jej mógł już zobaczyć. Nie zobaczy jej już dzisiaj...

Teraz musisz się rozmyśleć. Musisz! Musisz!

Czuł bolesne naprężenie w każdym nerwie, w każdym mięśniu. Szedł coraz szybciej.

Nie, nie! Nie myśleć już, nie myśleć; teraz muszę iść do niej... Niech się dzieje, co chce... A przecież myślał jeszcze, starał się jeszcze walczyć, ale wiedział, że musi pójść do niej. A potem: nagle zdusił w mózgu wszystkie myśli i szybko wszedł na schody.

Kiedy chciał zadzwonić, ogarnęło go znowu ubezwładniające uczucie trwogi. Kilka razy dotknął palcem guzik elektrycznego dzwonka, ale nie śmiał go nacisnąć. Potem oparł się o ścianę, bo nagle uczuł straszny ciężar. Teraz zeszedł z kilku schodów, przeliczył je, potem usłyszał na dole brzęk kluczy i nagle uświadomił sobie konieczność, ostatnią konieczność, która zawsze musiała zwyciężyć.

Znowu wrócił na górę i zadzwonił.

Służąca otworzyła mu.

— Czy panna Iza w domu?

— Panna Iza nie przyjmuje, zabroniła wpuszczać kogokolwiek.

— Ale proszę jej powiedzieć, że muszę z nią mówić...

Krzyczał prawie, chociaż nie wiedział dlaczego.

W tej chwili otworzyły się drzwi: Iza stanęła w przedpokoju.

Falk zbliżył się do niej, nie mówiąc ani słowa; weszli do pokoju.

Ujęli się za ręce i drżeli oboje.

Potem Iza zarzuciła mu ramiona na szyję i zapłakała głośno.

---

## XVI.

Mikita spędził cały czas w Monachium jak we śnie. Robił wszystko, co mu przyjaciele doradzali, szedł wszędzie, gdzie mu kazano, ale czuł, że jest z nim źle, bardzo źle.

Teraz musiał odjeżdżać. Tak chętnie pozostałby w Monachium, ale nie miał tu już co robić. A musiał mieć coś do roboty. Wszystko jedno co.

Powoli poszedł na dworzec. Tak, musiał wracać do Berlina.

Właściwie powinienby się pożegnać z przyjaciółmi, ale to sprawiało mu przykrość. Poszliby z nim na dworzec, potem dowcipkowawaliby, wyświadczali mu przyjacielskie usługi... nie! musiał zostać sam.

Dziwna rzecz, jak jego myśli się skupiały. Dawniej wszystko rozpraszało się, tak że z trudem tylko zdawał sobie sprawę, czego chciał właściwie, a teraz wszystko układało się tak pięknie, zrozumiale.

Głos jego także przycichł.

Tylko to dziwne drżenie, które trwało całymi godzinami, ten nagły zanik świadomości — oh! to było straszne.

Miał obawę, że to znowu powróci.

Nagle zatrzymał się przed składem broni. Przypomniał sobie tysiące opisów podróży, jakie czytał w gazetach. Możliwość, że i jego coś złego może spotkać, nie była wykluczona. Tak, mógł zostać napadnięty. Boże! Dlaczego nie miałyby go spotkać to, co spotkało tysiące innych. Rozśmiał się cicho.

Widział najrozmaitszą broń w oknie wystawowym.

Ludzie mają przecież straszliwą zdolność do wynalazków.

To be or not to be... przyszło mu nagle przez mózg.

To be or not to be... Brakowało mu tylko odpowiedniego płaszcza i czaszki trupiej... Do licha! Musi odpowiednią pozę wyćwiczyć przed lustrem.

Wszedł do sklepu.

Pierwszem, co mu wpadło w oczy, był wielki kalendarz ścienny.

1. kwiecień — przeczytał olbrzymie głoski. Prima Aprilis... będzie dzisiaj wiele niespodzianek.

Zażądał rewolweru, ale był tak znużony, że musiał usiąść.

Czy to było konieczne, żeby dzisiaj wracał do Berlina, czyż nie mógł zaczekać, aż przyjdzie do siebie.

Wtem ożywił się znowu.

Rozłączenie ma przecież w miłości bardzo ważne znaczenie. Falk także wyjechał. Nudziła się przez cały czas. Wszak zawsze musiała mieć kogoś przy sobie. Gdyby teraz powrócił... Dlaczego nie miałyby go spotkać to, co tysiące innych spotyka.

Czyż nie czytał w setkach romansów, że rozłączenie rozpala na nowo gasnącą miłość...

Boże! Przecież pisarze nie byli głupi... Jak pięknie i jak dokładnie już to opisywali!

Zapłacił za rewolwer i wyszedł.

Jedna nadzieja goniła drugą. Przyspieszył kroku. Wyprostował się. Zdawało mu się, że nagle zaczynają w nim działać nowe siły.

I ogarnął go niepokój, naprężenie. Jak mógł przypuszczać, że nie potrafi przebyć tej długiej drogi.

Mózg jego zaczął gorączkować.

Przypomniał sobie Izę; przypomniał sobie, jacy byli szczęśliwi, jak ona go kochała i podziwiała. Był przecież potężnym artystą, którego w nim czciła.

Ale nietylko artystę. Nie, nie! Lubiła przecież przytulić się do niego i głaskać go... Ona — ona — o Boże, jak on ją kochał! Wszak nie był już sobą, każda nitka jego organizmu związała się z nią — tak nierozzerwalnie...

Ale oczywiście musiał ją znużyć, nieustannie przecież dręczył ją swoją zazdrością, swoją... swoją...

Tak, ale... ona była taka dobra. Przebaczała mu wszystko.

Tam! — Tak, tam stanie, wyciągnie ku niemu ręce, rzuci mu się na szyję: Dzięki Bogu, żeś powrócił! Tak bezmiernie tęskniłam za tobą...

Tak, tak zrobi! — wykrzyknął. Wiedział to z wszelką pewnością.

Ale... prawda! Czy odpisała mu chociaż raz na jego listy...

Uderzył się w głowę.

O, ty głupi Mikito! Co ty wiesz o kobiecie? Co ty wiesz o jej podstępach... Tak, oczywiście! Jak mógł się tak dręczyć z tego powodu? To było przecież zupełnie jasne... miała prawo, ukarać mnie tak surowo...

I przekonywał się z niezbitymi dowodami, że nie rozumiał całej sprawy, że to tylko chytryść kobieca, mądrość kobieca... nie, nie, jak to mówił Falk... wrodzona mądrość doboru płciowego...

Tak, Falk umiał znaleźć na wszystko odpowiednie wyrażenia...

W miarę, jak się zbliżał do Berlina, rósł jego niepokój. Dawny ból rozszalał się w nim nanowo, w ciągu ostatnich dwu godzin był tylko bezbronną ofiarą strasznego bólu.

Doznawał zwierzęcych męczarni. To przecież niesłychane, żeby człowiek musiał się tak dręczyć — niesłychane!

I biegał po przedziale, rzucał się i skakał, potem nagle ogarnęło go straszne drzenie na całym ciele; zdawało mu się, że oszaleje z bólu i niepokoju.

---

Iza powitała go zimnym, zakłopotanym uśmiechem.

Była zajęta pakowaniem rzeczy.

I nagle Mikita zrozumiał jasną, lodowatą prawdę.

Powinien był zaraz odejść, ale był tak wyczerpany, że musiał usiąść.

Iza odwróciła się.

— Izo! — krzyknął nagle zachrypłym głosem, nie patrząc na nią.

Na tem urwał. Na stole leżała para zielonych jedwabnych pończoch. Jakies ukryte, płciowe skojarzenie pojęć wyładowało się w nim, chwycił pończochę i poszarpał w kawałki.

Iza spojrzała na niego z pogardą. Teraz wreszcie znalazła odwagę.

— Czego chcesz odemnie? Nie kocham cię przecież.

Próbowała tylko, czy zdoła mu to powiedzieć.

— Nie kocham cię, jesteś dla mnie zupełnie obcy, obojętny.

Chciała wtrącić coś o Falku, ale nie mogła.

Widziała w nim tę psią, poddańczą pokorę.

Obrzydł jej.

Powiedziała coś jeszcze, ale on już nie słuchał.



Wyszedł na ulicę.

Raz czytał gdzieś, że człowiek w takich chwilach nic nie rozumie, ale on rozumiał wszystko, tak jasno, dokładnie. Właściwie nie potrzebowała mu nawet mówić.

Dlaczego ulica była tak pusta?... Aha! była przecież niedziela, wszyscy ludzie wyszli za miasto... niedziela... prima Aprilis — po południu — spojrzął na zegarek — szósta godzina popołudniu. ...To be or not to be. — Tak, kiedy stanę przed lustrem w płaszczu Hamleta i z czaszką w rękę, wtedy muszę w końcowym monologu wspomnieć o godzinie.

Nie wyobrażał sobie przecież nigdy, że człowiek może przed śmiercią tak jasno, tak spokojnie i tak rozsądnie myśleć...

Tak — Garborg ma słuszość. Skoro człowiek wie, że bezwarunkowo musi umrzeć, wtedy jest zupełnie spokojny.

Tak, tak... Pisarze są zawsze tymi, którzy...

Szedł bardzo wolno, ale teraz zatrzymał się.

Ten głupi młokos irytował go już dawno. Mikita przyglądał mu się już od pewnego czasu.

Szedł zapewne do dziewczyny, chciał mieć małą nogę i kupił sobie za ciasne buty. A teraz co chwilę zatrzymywał się i udawał, że patrzy w okna wystawowe.

Tam — tam... znowu się zatrzymał.

Nagle wściekłość ogarnęła Mikitę na tego głupiego młokosa. Z surowym wyrazem twarzy przystąpił do niego.

— Masz pewnie potężne nagniotki, młody panie?

— Młody pan spojrzął na niego zdumiony, potem rozgniewał się, zczerwieniał z gniewu.

Mikita zatrwożył się.

— To jest przecież bezwstydną bezczelność! krzyczał młody człowiek.

Mikita cofał się zalękniony. — Przepraszam... Wie pan... pierścionki Wachsmutha w zegarku...

Oddalił się szybko.

Boże, jacy ci ludzie niedobrzy — krzyczą na mnie, dręczą i zamęczają na śmierć.

Czuł, że łzy spływają mu po policzkach.

No, Mikita! wprawdzie spotkało cię wiele złego, ale nie powinieneś skowyczeć z tego powodu... Do licha! Uspokójże się przecie!

Wpadł w wściekłość.

Ty głupi człowieku, czułościowy komedyancie! Czemu szlochasz? Pewno przeczuwasz w pobliżu płec piękną, która będzie się litować nad twym losem? He? Płec piękna.... ha, ha!

Wszedł do swojej pracowni i zamknął drzwi.

Spojrzał na obraz. Te ohydne wady rysunkowe. Że też tego dawniej nie spostrzegł! Musi to zaraz poprawić!...

Pochwyił pędzel, ale ręka drżała gorączkowo.

Szalał, chwycił obraz i w obłędzie darł go na kawałki.

Potem rzucił się na sofę. Ale zerwał się znowu, jakby go tysiąc dyabłów opętało.

— Iza! krzyknął — Iza!

Zaczął się śmiać. Dusił się od śmiechu.

Tarzał się po ziemi. Bił głową o posadzkę. Chwycił stołek, rozbił go na kawałki; szalała w nim wściekłość niszczenia.

Kiedy oprzytomniał, była noc.

Był wyczerpany. Umysł jego był już obłędem spowity.

Tylko jedno, ostatnie: Boże, co to było, co miał teraz zrobić?

Nagle poczuł w kieszeni coś ciężkiego.

Aha! Prawda! Prawda... Chodził po pokoju, szukał czegoś i powtarzał ustawicznie: Tak, prawda, prawda...

Tak, to było to! Rewolwer w kieszeni ciężał mu coraz bardziej. Usiąść! Nieprawda? To było zapewne najlepsze. Trzeba sięść — trzeba sięść...

Taka straszna cisza! Och jak to bolało!

Wyjął rewolwer, ale długo trwało, zanim go nabił. Ręce nie słuchały już rozkazów woli.

Rozgniewał się.

Naturalnie najpierw usiąść. To najważniejsze.

Usiadł.

W serce? Oczywiście! To był dobry pomysł. Strzela się zwykle o milimetr wyżej, a potem idzie się do szpitala! He, he...

Nagle zamyślił się bezwiednie i zapomniał o wszystkim.

W tem usłyszał śpiew na podwórzu. Ogarnął go nagły niepokój. Ścisnął silnie rewolwer.

Prędzej! Prędzej!

Coś potęgowało w nim straszny niepokój. Za chwilę niepotrafi już tego zrobić.

I nagle włożył broń głęboko w usta i pociągnął za cyngiel...

---

Falk i Iza siedzieli tego samego wieczoru w pociągu. Jechali do Paryża.

— Kochasz mnie? zapytała i uszczęśliwiona spojrzała na niego.

Falk nie odpowiedział. Uścisnął jej rękę i z niewysłowioną tkliwością patrzył jej w oczy.

— Ty, mój... Ty! siedzieli długo przytuleni do siebie. Była znużoną. Urządził jej posłanie z plaidów, owinał ją i ciągle patrzył na nią z tą samą gorącą, serdeczną tkliwością.

— Moja... moja...

— Pocałuj mnie! Zamknęła oczy.

Pocałował ją przelotnie, jakby bał się jej dotknąć.

— Teraz śpij, śpij...

— Tak.

Usiadł z przeciwnej strony.

Teraz była jego, tylko jego, teraz był szczęśliwy.

O Mikicie nie myślał prawie. Dziwna rzecz jak mało się o niego troszczył. Ale skoro... No na to nie ma rady, człowiek musi zginąć, jeżeli nie ma siły do życia, jeżeli brakuje mu właściwych warunków do życia; temu przecież nikt nie jest winien, i na to rady nie ma...

Czy i on byłby zginął? Nie! jego cierpienie było zupełnie inne. To były paroksyzmy gorączki, które rodziły potężną wolę. Tak, zrozumiał to nagle. Tylko... jak miał to nazwać. Nowa wola — wola, rodząca się z instynktów — wola...

Hm, jak to miał powiedzieć? Wola instynktów, której nie krępują żadne świadome granice, żadne atawistyczne uczucia... Wola, w której zlewa się instynkt i mózg w jedną całość.

Musiał jeszcze cierpieć, bo był człowiekiem przejściowym, gorączkował jeszcze, bo musiał pokonać mózg. Ale nie będzie cierpiał skoro pokona w sobie wszystkie te głupie etyczne zabytki, te atawistyczne pozostałości.

Nagle rozśmiał się w duszy.

Boże, Boże, to głupie idyotyczne rezonowanie. To bezmyślne gadanie o nowej woli i tym podobnych rzeczach. W końcu gotów jeszcze uważać się za nadczłowieka — dlatego — no, dlatego, że jego чуć była bezwzględna, że Iza oddała mu się z miłości, że on sam jest zbrodniarzem.

Ostatecznie chciał się nieco oszołomić, trochę okłamać.

Zbrodnia! krzyknęło mu coś w duszy.

Spojrzał na nią. Należała do niego, do niego, bo musiała należeć... I jechali ku szczęściu...

Wpatrzył się w okno.

Widział jak przed oczyma migały mu drzewa, pola i stacye przydrożne.

To wszystko będzie twojem, skoro tylko ta nowa wola zapanuje w tobie, wola instynktów, uświęconych przez mózg.

Pomyślał o Napoleonie.

Nie! to nie było to. To była wola fanatycznego epileptyka —

Dziwna rzecz, że szukał ciągle przykładów równej bezwzględności, egoizmu.. i zbrodni.

To były zapewne pozostałości cboroby, jaką przebył. Teraz posiadał przecież szczęście.

I potężniał w poczuciu swego wielkiego szczęścia, które wywalczył sobie swoją wolą.

Wszystko inne zostało poza nim jako wspomnienie, temat do wielkiego wstrząsającego dramatu.

Patrzył długo na śpiącą Izę.

To była kobieta, której nie znał. Ale nie potrzebował jej znać. POCO? Miał ją teraz, odbił ją innemu.

Był łosiem... nie to było za zwierzęce. Wspomnienie jelit, które wisały na rosochach, było mu przykre.

Całą siłą bronił się przed ogromną masą, przykrych, niemiłych uczuć... He, he... jakby ktoś rozgrzebał gniazdo osie.

Ale znowu się uspokoił.

Tak, zupełnie tak musiało się stać, jak się stało. Dziwna rzecz, że ciągle przypominał sobie dawne pojęcia o wolnej woli, o zbrodni, o winie, a może...

Ale teraz — teraz... Dokąd niosło go przeznaczenie? Do szczęścia! Do bezgranicznego szczęścia, pełnego nowych, nie znanych rozkoszy.

O, jak czuł się dumnym, jak szczęśliwym, jak silnym i jak — smutnym...

A pociąg pędził i pędził... W oknach przebiegały błyskawicznie domy, wsie i miasta, a wysoko na niebie płonęła jedna gwiazda zamglonem

fioletowem światłem...

\*

## o książce *Homo sapiens 1: Na rozstaju*

Pierwsza część cyklu powieściowego wybitnego przedstawiciela polskiego modernizmu Stanisława Przybyszewskiego.

Bohaterem książki jest pisarz, Erik Falk, emigrant z Polski, zamieszkały w artystycznym Berlinie na początku lat 90. XIX wieku. Fabuła pierwszego tomu trylogii obraca się wokół jego próby uwiedzenia narzeczonej przyjaciela.

Autor dokładnie analizuje szaleństwo głównego bohatera, który zmagają się z zaburzeniami nerwicowymi. Falk to anarchista, lekceważący wszelkie normy moralne. Przybyszewski jak zwykle ozdobnym językiem opisuje proces degradacji jednostki przez alkoholizm i erotyzm.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.